

BRUNO WINAWEK

**TEMATY
i WARIACJE**

**WYDANIE PIERWSZE
PIERWSZY TYSIĄC**

0.70
1 9 2 1

BIBLIOTEKA UTWORÓW AKTUALNYCH

T. I.

BRUNO WINAWER
TEMATY i WARIACJE

WARSZAWA 1921

**NAKŁADEM S-ki AKCYJNEJ „DRUKARNIA
POLSKA w BIAŁYMSTOKU“
SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI
E. WENDE i S-ka w WARSZAWIE.**

3831052

527330

BRUNO WINAWER

TEMATY
I WARIACJE



Bolesław Banaś

W A R S Z A W A — 1 9 2 1

A. 15784

BIBLIOTHECA
MUSEI
HISTORICI
URBIS
ROMAE

Copyright by Bruno Winawer,
nineteen hundred twenty one.

Litrat. 135

K. 1066/57/90

Allegro — non troppo.

PRZEDMOWA I OMYŁKI DRUKARSKIE.

Zamiast *Tematy i warjacje* czytać należy *Studja i szkice*, albo *Węże gumowe*, albo *Pastele*, albo wreszcie *Papierowe gołąbki*. Są to utwory drobniejsze, które ukazać się miały dopiero w kompletnem, *pośmiertnem* wydaniu moich dzieł — staraniem Akademji Umiejętności. Ponieważ — ze względu na wątłe zdrowie — mógłbym *pośmiertnego* wydania moich prac nie dożyć — drukuję to i owo już teraz, przedwcześnie. Czytać te rzeczy należy stopniowo, powoli, bez zbytniego pośpiechu. Dla osób dorosłych wystarczą dwa utwory na dzień, dla kobiet i dzieci — 1,5. Zwracam uwagę na to, iż zdania wyjątkowo oryginalne, dowcipne i błyskotliwe podkreślam i uwydatniam w druku, stawiając po nich wykrzyknik, wielokropek, przecinek, pytajnik albo kropkę. Oprócz tych zdań i znaków przestankowych zbiorok ten zawiera kilka feljetonów aktualnych, kilka dialogów warszawskich i dziesięć *niewystrzelonych naboju filozoficznych!* Ostrzegam przeto przed gwałtownem rzucaniem książki o ziemię albo na ścianę.

B A J K A.

W chłodny, słoneczny, suchy dzień grudniowy kroczył przez gwarne ulice Londynu wielbłąd — dromader. Jego cienka szyja, przyczepiona do niekształtnego kadłuba, jak gryf do pudła basetli, górowała dumnie

nad tłumem, jego wązkie zamglone oczy patrzyły marżąco w dal. Cizba ludzi falowała u nóg jego, groźne ryki trąbek samochodowych rozlegały się wokół, ale on nie zwracał na to uwagi. Szedł wyniosły i dumny i tylko chwilami ruszał pogardliwie zaślinionemi wargami: „rozstąp się, nędzny tłumie, — *ja* idę.“

Nie myślcie, że ta wzorzysta dera, okrywająca jego wyniały kadłub, była powodem tej dumy. Nie.

Przyczyna leżała głębiej. Do prawego przedniego kopyta przyczepiono mu oto dziś rano pieczętkę gumową z napisem: „Pears soap“ — „mydło Pearsa“ i korab pustyni, krocząc przez Regent-Street w stronę Trafalgar-skweru, odbijał te słowa na asfalcie ulicy. I to go napawało dumą.

Albowiem, idąc, *nie mijał bez śladu*. O nie! Pozostawiał po sobie długi szereg drukowanych liter:

Pears soap.

Pears soap.

Pears soap...

Na rogu Piccadilly ktoś mu zatarasował drogę. Był to jego dawny kolega z wędrownego cyrku — osioł Jack.

— Hallo, Harry! — ucieszył się osioł. Dawno cię nie widziałem, przyjacielu, co porabiasz? How-do-You do? ça va la petite santé? Wie geht's?

Dromader zmierzył go pogardliwym wzrokiem. — Nastąp się! — rzekł z wolna — Zejdź z drogi. I nie mów do mnie. Czyż nie widzisz, że mi przeszkadzasz?

— W czym? zdziwił się osioł.

Wielbłąd majestatycznym ruchem ogona wskazał w tył, poza siebie, na długi szereg liter..

— W pracy literackiej! — odrzekł — To wszystko tam wyszło z pod mego kopyta. Odsuń się albowiem, jak widzisz, jestem dziś w natchnieniu.

I to mówiąc, ruszył dalej w stronę Trafalgar-skweru dumny, — pogardliwy, wyniosły, a za każdym jego stąpieniem nowe „Pears soap” zwiększało olbrzymią litanję.

Osiół stał jak wryty, spoglądał na znikający w oddali ogon przyjaciela, to znów na długi szereg drukowanych słów.

— Szczęśliwe bydlę! westchnął wreszcie. Pozostawia po sobie ślad. Przejdzie do potomności... Że też to mnie Pan Bóg nie dał literackiego talentu...

I westchnął raz jeszcze głęboko.

S Ł A W A.

Rabbi Joszua Ben Cyc, Rabbi Jezechjel i Rabbi Ben Akiba szli kołom domowi.

Tego dnia dysputowano gorąco w świątyni. Kto patrzył uważnie, mógł to dojrzyć odrazu. Rabbi Joszua Ben Cyc, Rabbi Jezechjel i Rabbi Ben Akiba mieli rumieńce na bladych twarzach. Przechodnie patrzyli uważnie i widzieli rumieńce na twarzach i kłaniali się w pas, ze czcią i szacunkiem. Któżby ich nie znał trzech mężów światłych, trzech słońc Syjonu? Gdzieś tam tylko — rzadka — pouczał ktoś w tłumie szepcąc ciekawego przybysza:

— Rabbi Joszua Ben Cyc! Rabbi Jezechjel! Rabbi Ben Akiba! Musiała dziś być wielka dysputa w świątyni!

Tak szli trzej mężowie — a było jakby trzy słońca naraz weszły nad miastem. Trzej mężowie szli wolno, ale ręce ich i palce wykonywały ruchy szybkie,

błyskawiczne, goniąc za lotną myślą. I rumieńce nie znikwały z ich twarzy. Była dziś bowiem wielka dysputa w świątyni. Rozstrząsano to miejsce Pisma, gdzie powiedziane jest: kto na własnym albo na publicznym gruncie wykopie dół, więcej niż na 7 stóp głęboki i przykryje go niedostatecznie, obowiązany jest bliźniemu swemu wszelką krzywdę na zdrowiu albo na bydłciu, która przez wpadnięcie do tego dołu wyniknie—wynagrodzić.

Wszystkie sławy judaizmu były zebrane. Świątynia wyglądała jak firmament. Dysputowano.

Rabbi Joszua Ben Cyc pytał: Czy przez krzywdę należy rozumieć kalectwo czy śmierć?

— Kalectwo.

— Czy jeżeli wół wpada do dołu, który ma nie 7 ale 5 stóp głębokości, czy ten wół może złamać nogę?

— Może.

Dlaczego więc Pismo chce, żeby dół miał koniecznie 7 stóp? Rabbi Samuel rzekł: Ja wam co powiem. Należy wynagradzać kalectwo i śmierć. Dół na 5 stóp głęboki może spowodować kalectwo. Dół na 7 stóp głęboki kalectwo — albo śmierć.

Rabbi Joszua Ben Cyc pytał: Czy dół na 7 stóp głęboki wystarcza, aby spowodować śmierć? — Wystarcza. Dlaczego więc rowy dla kamienowanych muszą być na 12 stóp głębokie?

Rabbi Ben Akiba rzekł: Albowiem powiedziano jest: kochaj bliźniego twego i staraj się dla niego o lekką śmierć.

Rabbi Joszua Ben Cyc pytał: jeżeli ów, który dół wykopał, wynagrodzi śmierć, to do kogo ma należeć zdechły wół?

Tak rozważano przez cały dzień.

Najbardziej się wyróżnił Rabbi Joszua Ben Cyc

Jeszcze i teraz powstawały w nim myśli, któremi mógłby poćwiartować przeciwników.

Ale im dalej szli trzej mężowie, tem bardziej spokoj letniego wieczoru w nich wsiąkał.

Na drodze spotykali coraz więcej ludzi. Tłum chylił się przed nimi, jak chyli się trawa przed wiatrem. W odpowiedzi kiwali trzej mężowie niekiedy — ale zrzadka — głowami.

Aż nagle Rabbi Jezechjel, który był z nich najmłodszy, rzekł — Rabbunem, przychodzi mi myśl jedna do głowy! Widzicie ten tłum, jak się chyli przed nami? To prawda czynimy rzeczy wielkie, tłumaczymy Pismo. Ale chciałbym was o coś spytać, rabunem!

Czy nie jest możliwe, że za lat pięćdziesiąt, albo za lat tysiąc, ten tłum powie: Rabbi Jezechjel? Rabbi Joszua? Tysiąc razy ważniejszą rzeczą jest wiedzieć, jak źdźbło trawy wygląda w środku, niż co w ich tysiącu księgach stoi.

Patrzcie, jak oni się nam pokornie kłaniają.

Ale czy nie jest możliwe, rabbunem, że za lat pięćdziesiąt, albo za lat tysiąc jaką wielką trąbę wyjadą i przed tym, co najlepiej zagra na tej trąbie, w proch padną jak teraz przed nami? I jak teraz pokazują nas dzieciom, tak kiedyś pokazywać będą: Patrzcie! to jest wielki Hebes, ulepił z gliny krowę, która wygląda jak żywa! Albo: tam idzie wielki Behajmes, znalazł pięćset słów i co drugie to ma tę samą końcówkę. To bardzo wielki człowiek jest! I pytam was, rabbunem, czy nie jest możliwe, że ci sami ludzie śmiać się z nas będą. Ze mnie i z was, Rabbi Juszua, i z was, Rabbi ben Akiba. I z nas, i z naszych prac, i z naszych dysput, i z naszych ksiąg!

— Co wy powiadacie na to? — oburzył się Rabbi Joszua. Wielka trąba? Człowiek, który ulepił krowę?

Co kto mówi na to? Słowa z tą samą końcówką? Wiele rzeczy już było, ale żeby wszyscy ludzie naraz rozum stracili, tego jeszcze nie było! Wielki Hebes? Wielki Behajmes? *My wykładamy Pismo, my* —. Mówcie wy, Rabbi Ben Akiba! Ja nie mogę! To są niesłychane rzeczy!

Ale Rabbi ben Akiba milczał.

Poprawił nieco zawój. Podrapał się za uchem... I widać było, że się uśmiecha.

O K O B I E C I E.

Wielki kalif Abu-Bekr, który jak wiadomo, pisał Koran i wielki Rabbi ben Znaim, patriarcha gminy żydowskiej w Medynie, rozprawiali raz pewnego o rzeczach świętych.

— Nie miejcie mi tego za złe, Abu Bekr — mówił Ben Znaim — nie miejcie mi tego za złe, ale nie mogę uwierzyć, że Mahomet był wysłany od Boga. Gdzie są cuda tego proroka? Mojżesz przeprowadził nas suchą nogą przez morze, Enoch w płomiennym powozie pojechał do nieba. Ów siedział między lwami, ten mieszkał w żołądku wieloryba, dopóki go komornik nie wyrzucił. Gdzie jest, pytam, wielki cud *waszego* proroka??

Abu Bekr rozwinął duży papyrus i czytał: Kiedy Mahomet posłyszał w sobie *wielki głos*, objawił to swoim najbliższym.

I oto stało się, iż własna żona uwierzyła mu, że jest prorokiem.

— Czy to prawdziwa prawda jest? — spytał Ben Znaim, pukając palcem w powietrze.

— Prawdziwa prawda.

Ben Znaim nie pytał więcej.

Mimo wiek podeszły pobiegł wyciągniętego klusa do meczetu i *przyjął islam*.

J U B I L E U S Z.

Jutro, dnia 29 lutego 2020 roku, my, a z nami cały świat cywilizowany, obchodzić będziemy setną rocznicę urodzin genialnego mistrza tonów, a zarazem naszego rodaka, Cecyla Tylko.

Jest rzeczą słuszną, abyśmy w tym dniu uroczystym przypomnieli czytelnikom kilka faktów z życia wielkiego muzyka, którego imię złotymi głoskami wryte jest w dziejach kultury.

Cecyl Tylko ujrzał światło dzienne w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, w zamożnym domu bankierskim.

Już w latach młodocianych wyróżniał się dużą baloniastą głową, odstającymi uszami i absolutnym brakiem słuchu.

Rodzice postanowili go też pchnąć na drogę artystyczną. Zwłaszcza matka Cecyla, Heloiza z Oficynerów, osoba nader wrażliwa na piękno i słynna w swoim czasie z czarnej kawy, którą zwykła była raz na tydzień ofiarowywać w swoim domu gratis znanym muzykom warszawskim, — rada była widzieć w jedynaku przyszłego wirtuoza.

Wirtuozami nazywano wtedy ludzi, którzy zastępowali ogólnie dziś do produkowania dźwięków używane automaty muzyczne. Ludzie ci różnili się bardzo

od zwykłych śmiertelników, — nosili długie, rzadko kiedy czesane włosy, obgryzali paznokcie i palcowali całymi dniami po klawiaturach, traktując to jako swój fach i powołanie, mimo to jednak nie wzbudzali we współczesnych pogardy. Przeciwnie, cieszyli się uznaniem, nazywano ich artystami i oklaskiwano na koncertach tudzież tym podobnym zbiegowiskach publicznych.

Takim właśnie wirtuozom oddano na naukę młodego Cecyla. Niestety! po długich latach męczącej pracy młody Tylko zaawansował tylko o tyle, że umiał wskazującym palcem prawej ręki wygrać na instrumencie zwanym podówczas fortepianem, jeden jedyny utwór poważniejszy: „La Matchiche“. Matka Cecyla, Heloiza z Oficynerów, była niepokieszona i głęboko zmartwiona tym smutnym faktem.

— Mój syn nie jest muzykalny! mówiła — mój syn nie umie grać na fortepianie.

Ale jej mąż, H. Tylko, uśmiechał się tylko pod wąsem. — Co jest? Nie umie grać na fortepianie, to mu kupię pianolę. Nie umie ręką to będzie grał nogą!

I tu zaszedł fakt wiekopomny, po wsze czasy zanotowany w dziejach muzyki: młodociany Cecyl dostał pianolę!

Był to instrument, jak na owe czasy, zbudowany wcale zmyślnie. Nuty — szereg dziurek w ceracie, umieszczano w pudle pianina, wprawiano w ruch za pomocą nóg własnych albo elektryczności pewien wałek, poczem ów klawicymbał grał.

Zasada, jak widzimy, bardzo podobna do tej, którą dziś w naszych, ogólnie przyjętych automatach muzycznych stosujemy.

Podówczas takie automaty nie cieszyły się uznaniem. Ludzie samogrający-pianiści, o których wyżej była mowa, obawiając się, że chleb stracą, rzucili na

wszelkie pianole pewne odjum — i publiczność nie miała odwagi być innego zdania, niż oni. Wyobrazić też sobie możemy, z jakim politowaniem patrzano w domu państwa Tylków na młodego Cecyla, który nie posiadał dość długich palców u rąk i przeto musiał grać na pianoli!

A młodociany Cecyl nie zważał i grał. A zwłaszcza badał nuty. Bo w muzyce interesowały go właśnie najbardziej dziurki w nutach.

Studjował pilnie figury i linje, jakie tworzą, rysował kombinacje, które się powtarzały najczęściej. Aż wreszcie z tych prób i igraszek dziecięcych wyłoniła się myśl, której zawdzięczamy całą naszą muzykę współczesną.

Myśl, że te szeregi i figury nie są zupełnie dowolne, ale że mają pewien rysunek, pewne cechy, które się powtarzają wszędzie — w symfonjach jak i w „polkach w szafliku”.

Myśl, że z tych nut można odcyfrować naszą estetykę, odnaleźć analitycznie te kombinacje, które wywołują hałas dla naszych uszu przyjemny.

Myśl wreszcie, że wystarczy kilka dni prób, aby wytworzyć taki szereg dziur w całym, który, puszczony w ruch obrotowy na wałku pianoli, wywoływać będzie najpiękniejszy i najbardziej natchniony harmider.

Wydaje się nam to wszystko takie jasne i proste, że nawet zrozumieć nie możemy, czemu praojcowie nasi nie wpadli wcześniej na pomysł odcyfrowania własnych nut muzycznych! Ale wszystkie wielkie odkrycia wydają się łatwe, gdy zostały dokonane.

Tak było z jajem Kolumba i z ruchomemi literami Gutenberga, tak było i z wielkim wynalazkiem Tyłki!

Nie umniejsza to zasługi naszego genialnego rodaka. Był to pierwszy człowiek, który odkrył wielką

tajemnicę nut i pierwszy który nietylko dowiódł, że muzykę można tworzyć naukowo, ale który *naukowo komponował*.

W roku 1951 Cecyl Tylko chwyciwszy z przedpo-koju chodnik z linoleum, wyrznął w nim szereg dziur, które stanowią najpiękniejszą kompozycję owych czasów.

Chodnik ten, przechowywany obecnie w Muzeum Narodowym, odrazu zyskał szalone powodzenie i zagłuszył wszystkich Strausów i ich Elektry!

W teatrach i kawiarniach, w salonach i na ulicach nie grano nic innego, jeno chodnik Cecyla Tylki!

A to był początek zaledwie! Ogłoszona wkrótce potem metoda naukowa kompozycji wywołała przewrót w ówczesnem życiu kulturalnem, przewrót, którego dziś sobie nawet wyobrazić dobrze nie możemy. Jednym zamachem przeszła muzyka z rąk długowłosych *natchnionych* mistrzów, w ręce fabrykantów. Kilka prób wedle danego schematu i walc był gotów, kilka prób według innego — i powstawała opera lub operetka!

Coby powiedzieli nasi praojcowie, zwolennicy „natchnienia” gdyby ujrzeli nasz dzisiejszy *przemysł*, nasze wielkie fabryki muzyczne! Nową muzykę do operetki, za którą dawniej placono miliony rubli, możemy dziś dostać za markę fenigów dwadzieścia.

Skomponowania „Elektry” podejmie się każdy nasz Strauss współczesny, za półtorej marki.

„Pierścień Nibelunga” piękniejszy stokroć od oryginału napisze każdy fabrykant w ciągu dwu dni, o ile go niema na składzie...

Coby powiedzieli poeci czasów ubiegłych, gdyby się dowiedzieli, że do miliona oper i operetek, które produkuje co godzina nasz przemysł krajowy, brak nam oddawna tekstów drukowanych, choćby najgłupszych! Że musimy śpiewać nasze pisma codzienne, nasze ja-

dłospisy, nasze pudelka od papierosów?! Nasze mowy parlamentarne!

Coby powiedzieli sprawozdawcy operowi, gdyby im oznajmiono, że słyszeć mogą codziennie tysiąc różnych premier i pisać o nich recenzje?!

To wszystko jednak stało się faktem. A fakt ten zawdzięczamy genialnemu Cecylowi Tylko!

Zaprawdę, wołaćby należało: „Niech żyje Cecyl Tylko“! gdyby nie to, że Cecyl Tylko już nie żyje... Przy okazji przypominamy, że czas odnowić prenumeratę.

B O H A T E R.

Trzeba wiedzieć, że w czasie kampanji werbunkowej lorda Derby pierwszy zapisał się w Londynie na liście ochotników — Ryszard Lwie Serce. Przyszedł do biura w kolczudze, w szyszaku, z tarczą, mieczem, pióropuszem, jak na uczestnika wypraw krzyżowych i rycerza przystało.

— Nazwisko i imię? spytano go.

— Ryszard Lwie Serce Plantagenet.

— W wojsku pan służył?

— Owszem.

— Brał pan udział w wojnie z Boerami?

— Nie, z Saracenami.

— Aha, to — pod Kitchenerem. *Very well*. Otrzyma pan dwa funty na tydzień i rangę wicefeldfebla. Następny!

Zdjęto z niego błyszczącą zbroję, odebrano mu tarczę, kolczugę, pióropusz. Ubrano go w kostjum *kha-*

ki. Musiał przez rok ćwiczyć na podwórku koszarowym. Mniej był sprytny od innych i instruktorzy pluli srogo przez zęby, patrząc, jak maszeruje. Zagryzł wargi i milczał. „Ja im tam, we Flandrji, pokażę, co to znaczy rycerz sans peur et reproche”.

We Flandrji leżał w rowie przez drugi rok. Nabawił się reumatyzmu i chronicznego bólu zębów. Wreszcie — nadeszła chwila. Przez trzy dni armaty wyły, granaty pękały, rozrywając ziemię i bębunki w uszach. Na czwarty dzień po zrytym, rozkopanym, zdartym na wadoły i wyrwy ugorze czołgała się gromada ludzi. Z nią on — rycerz krzyżowy. Wieczorem jeneral sir Douglas Haigh depeszował:

— Zdobyliśmy fabrykę cukru. Armja posunęła się w głąb o 1000 jardów. Yard=91 cm.

Ryszard Lwie Serce miał dziesięć ran od kul mitraljezowych. „It is no business for me” — rzekł.

Po polsku: to nie jest dla mnie interes. Podrapał się w głowę i umarł.

Ma zamiar zmartwychwstać w innej epoce.

HISTORJA CYWILIZACJI, CZYLI KOSZYK NA MARSZAŁKOWSKIEJ.

Razu pewnego — w powietrzu czuć było wiosnę i dzień był słoneczny — w koszyku, umieszczonym pod uliczną latarnią, leżeli sobie spokojnie Emil Zola obok Klementyny z Tańskich Hoffmannowej. I ten sam bukiniśta (nazwijmy tak, dziecino, człowieka w kubraku, który staremi książkami kupczy) zachwalał niedobraną parę

przechodniom, wykrzykując chrapliwym głosem, ile są warci i co dla ludzkości zdziałali. Aliści przechodnie, jak to już ich nazwa wskazuje, przechodzili obok kosza obojętnie. Bo i czemże, dziecino, jest nasz dorobek kulturalny, wobec bułki pszennej, czem Zola wobec kajzerki?

— A widzisz! — rzekła Klementyna do Emila Zoli. — Spotkaliśmy się! Rewolucje literackie, manifesty, krzyki po nocy, sprośności — a skutek? Leżysz oto, człowieku, w koszu od bielizny, jakgdybyś miał Rougon-Macquartów powieści dla dorastających pańienek pisać. I sumienie cię gryzie i nikt cię kupić nie chce. A widzisz! — Emil Zola milczał, bo ilekroć się odezwał po polsku, mówił niegramatycznie i to go bardzo trapiło, dziecino. I zresztą jako zapalony zbieracz dokumentów ludzkich, wiedział dobrze, że baby nie przeproszą. — Chy! — drwiła Klementyna — ilu to ja ich widziałam, krzykaczy, nicponiów, światoburców! Wrzasku narobi, kije we wszystkie mrowiska wsadza, a potem leży, wykolejeniec, żółty, zbutwiały, klejem cuchnie i muchy go pstrzą, reformatora. Wróbelki nań z góry tentegują, na proroka.

— Ależ, Klementyno — rzekł raptem Heine w tłumaczeniu Kraushara. „Tentegują“ w twych ustach? Nie można obcować bezkarnie z literaturą realistyczną. Nawet cheruby poczynają mówić, jak dorożkarze.

— Tu nie chodzi o kwestje stylistyczne — głosem cichym, znękanym wtrącił Edgar Allan Poe. — Cherub maślusznosc, Klementyna ma rację. Fantazję trzeba mieć w życiu i pogardę dla rzeczy realnych. Ja to najlepiej wiem, bo żyję już, chwalić Boga, cztery tysiące i dziewięćset dwadzieścia lat. W Egipcie byłem kapłanem w świątyni Izydy. Posiadłem wiedzę tajemną,

nazywano mnie Mer Aram, zbudowałem drzwi, które się otwierały i zamykały automatycznie („*Nicht zumachen! Schliesst von selbst*“) i przewidziałem zaćmienie słońca. Tłum chylił się przede mną w strachu panicznym, byłem czczony, jak bóg. Po śmierci postawiono mi piramidę, której do dziś dnia piaski pustyni nie po-grzebały. Ale ambicja pchała mnie do większych czynów. Już dwa tysiące lat po śmierci zmartwychwstałem, aby w Judei tłumaczyć Pismo, razem z Jezechielem i Ben Akibą. Talmud, Miszna i Gemara zawdzięczają mi najsłabsze ustępy. Zaprawdę nikt w owych czasach głośniejszym nie był odemnie. Pokolenia i ludy biegły całować me stopy i rąbek szaty. Odszedłem — aby się wcielić w Juljusza Cezara. Niezła to była karjera; do dziś chłopcy w szkołach średnich podziwiają moje czyny. Ale ludzie dorośli dbają o mnie tyle, co o wyjątki gramatyczne w języku acteków. Przewidziałem, że tak będzie. Porzuciwszy też skórę Cezara, jak zmiętą rękawiczkę, umieściłem się w Leonardzie da Vincim. Mam kartę całą w Encyklopedji Orgelbranda. Za obraz mój przechowywany w Luwrze, szaleniec pewien chciał oddać życie. Ale setki milionów ludzi normalnych wolą parę nowych butów, niż moją „Wieczerzę Pańską“. Byłem przez kilka kwartałów Newtonem, zwano mnie urągliwie Izaakiem i gromadka obdartych inteligentów ma dla mnie od tej chwili sporo sympatji. Nauka była zresztą modna przez kilka zaledwie sezonów. Wziąłem się tedy do literatury. Napisałem Szekspirowi „Sen nocy letniej“, podykto-wałem Cervantesowi „Don Kichota“, Heinemu „Księżę pieśni“. I leżę w koszu na Marszałkowskiej, obok Klementyny. Co dalej począć, panowie? Trzeba z żywymi naprzód iść. Excelsior! Biorę teraz lekcje mi-moplastyki i jutro występuję w „Kolizeum“ jako Gun-

nar Tolnes. Będę miał tysiąc metrów długości i pięć części.

Ale już jestem zmęczony, bardzo zmęczony...
I ja też, dziecino...

ROZMOWY ZMARŁYCH.

Rozmowa między Szekspirem Wiljameem i Arystofanesem, Grekiem.

Arystofanes. Skądże to wracasz, drogi Wiljamie? Czemu kurzem są pokryte skórznie twoje?

Szekspir. Wracam z premjery sztuki mojej, którą Sheefman niejaki wystawił oto w Warszawie.

Arystofanes. Dziwnie próżna jest młodzież literacka dzisiejsza. Czyś kiedy widział, Wiljamie, żebym ja biegał do Teatru Letniego na widowisko? Czyś widział, żebym recenzję jaką o „Babim kole“ czytał? Młody jeszcze jesteś, powiadam ci, i byle czem się przejmujesz. Gdybyś dwa tysiące i czterysta lat kariery literackiej miał poza sobą, jak ja, tobyś sądy ludzkie lekcewał i krytyk Grubińskiego i Breitera do albumu nie wklejał. Rób, co masz robić, a na resztę gwizdaniem wesołem odpowiadaj. A przykład bierz sobie z ptaszków leśnych i choćby nawet z dentystów. Śpiewa to i ćwirka albo znów zęby wrywa, wcale nie pytając, czy się ta działalność artystyczna słuchaczom podoba i pacjentom.

Szekspir. Słuszność masz, jak zawsze, Ateńczyku. Ale zawszeć to rzecz dla autora ciekawa, czy dzieło po latach trzystu jeszcze do pospólstwa przemawia,

czy barwy nie zgasły i dowcip nie przybladł. Czy ludzie wruszają się tam, gdzie trzeba, i czy się śmieją tam, gdzie należy.

Arystofanes. Jako komedjopisarz powinieneś wiedzieć, że ludzie nigdy się nie śmieją tam, gdzie należy. A po latach trzystu czy po latach dwóch — dobry dowcip jest dobrym dowcipem, tak, jak rzeźba Fidjasza jest dobrą rzeźbą. Nic tu wyblaknąć nie może.

Szekspir. A więc nie uznajesz, Ateńczyku, postępu w sztuce? Nie sądzisz, że człowiek, który wynalazł lokomotywę, jest mądrzejszy i wrażliwszy od człowieka, który jeździł kwadrygą?

Arystofanes. Człowiek, który wynalazł lokomotywę, nie chodzi do teatru. W teatrze bywają ludzie, którzy wymyślili przepustki kolejowe. — Prócz tego wynaleźć procę w czasach, gdy — jako broń dalekonośna — istnieje tylko patyk, jest rzeczą trudniejszą, niż wymyślić „grubą Bertę“ w wieku dział okrętowych i moździerzy szybkostrzelnych.

Szekspir. Zaprawdę lekce sobie wazysz pokolenia ostatnie. Stąd to pochodzi zapewne, że bujasz po śmierci w chmurach i żeś nieco zardzewiał przeto od wilgoci. Gdybyś na ziemię zeszedł, gdybyś ich miasta zobaczył, tramwaje elektryczne, sceny obrotowe, lampy łukowe, okręty żelazne i telefony, przyznałbyś może, iż tych ludzi uznanie zyskać — większy to splendor, niż u dworaków elżbietańskich albo gapiów ateńskich na poklask zasłużyć. Powiadam ci, większa to sztuka zaiste w tych czasach z chodnika na chodnik przejść, niżli w starożytności prawodawcą zostać. Solonaby na pierwszym rogu samochód przejechał, Tales z Miletu listuby poleczonego na poczcie odebrać nie umiał.

Cezaraby za nieudolność z wojska wyrzucili i musiałby do milicji na posterunkowego wstąpić.

Arystofanes. Tacy są mądrzy, mówisz? Czemuż więc oko twoje weselem nie jaśnieje, czemu policzki żółte masz i zapadłe? Zaliś powodzenia nie miał?

Szekspir. Owszem. Oklaskiwano mnie mocno i w antraktach wywoływano.

Arystofanes. Może Arystarch który, albo Zoil ugryzł cię boleśnie?

Szekspir. Gorzej, Ateńczyku. W bufecie napojono mnie akwawitą monopolową od cykuty gorszą, a na wieczerzę jadło mi spożywać kazali, któremby pies spartański pogardził, ogon zadarłszy.

Arystofanes. Przebóg, co słyszę? To oni wolu dotąd „elektrycznego” nie wynaleźli? wina „obrotowego” nie mają? ambrozji „lukowej” nie odkryli?

Szekspir. Nie, mistrzu ateński. Żywią się gorzej od huncfotów.

Arystofanes. Powiedz temu pospólstwu, żeby sztuk moich wystawiać się nie ważyli! Bo przyjdę i na cztery wiatry rozpędzę! Niech sobie grają Fijołkowskiego.

I niech fałszują wino.

ŻYCIORYSY.

1.

KRZYSZTOF KOLUMB.

Przyprawmy fantazji skrzydła, zapalmy papierosa i wyobraźmy sobie, iż niejaki *don Christoval* urodził się w Warszawie. Oto jego *curriculum vitae*, opracowa-

ne wedle źródeł najnowszych, tudzież na podstawie licznych dokumentów.

Kurjerek. Rubryka: *Odczyty i posiedzenia*. Druk najdrobniejszy. Sprawozdanie:

„Wczoraj, w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa niejaki pan Krzysztof Kolumb wygłosił pogadankę p. n. „Droga do Indji wschodnich”. Prelegent usiłował dowieść, że ziemia ma kształt gruszki, czy też pomarańczy i że można ją opłynąć *naokoło* (sic! P. R.) Publiczności zebrało się niewiele. Słuchano wywodów pseudo-naukowych, które na żart *primaaprilisowy* zakrawały i kiwano głowami.

P. Kolumbowi zwrócić należy uwagę, iż powinien się uczyć, i raz jeszcze uczyć, nim zacznie występować publicznie“.

Przez kilka miesięcy następnych pan Krzysztof próbuje się uczyć. Niestety nie wie *za co*. Aż wreszcie:

Kurjerek. Rubryka: *Z teatrzyków*. Druk znacznie większy: „Wczoraj w kabarecie artystycznym Bum-de-ra, tak świetnie prowadzonym przez znanego literata i poetę Omtadralskiego, ujrzeliśmy nowy, świetny, imponujący siódmy program. Debiutował między innymi p. Krzysztof Kolumb i debiut ten możemy zaliczyć do b. udanych.

Produkcje młodego artysty przyjmowano bardzo życzliwie, zwłaszcza zaś podobało się *stawianie jajka*, które na ogólne żądanie musiało być dwukrotnie powtórzone. Pan Kolumb będzie—niewątpliwie—cennym nabytkiem dla naszej nadscenki.

I p. Bęc-Migdalska ma talent, który...”

Uciulawszy trochę grosza, Kolumb wyjeżdża za granicę.

Ślad po nim ginie. Wreszcie —
 Rubryka: Polacy za granicą. Garmont!

„Dowiadujemy się, iż rodak nasz i warszawianin, p. Krzysztof Kolumb, odkrył Amerykę.

Prasa zagraniczna wyraża się z wielkiem uznaniem o tem odkryciu naszego rodaka.

P. Krzysztof jest synem znanego w szerokich kołach naszego miasta...”

— — — — —
 Pan mecenas Furdasiewicz do pana radcy Drygalskiego u Lourse'a:

— Słyszał pan radca, co? Czytał pan o Kolumbie? Zaimponowaliśmy Europie, he? Wiedzą teraz, co to my?

— Niby co się stało?

— Jakto? nie czytał pan? Odkryliśmy Amerykę, panie...

— A cóż to jest Ameryka?

— Djabli ją tam wiedzą. W każdym razie w prasie europejskiej aż huczy! Ten Kolumb, no! Ktoby przypuszczał. Ja go pamiętam, panie. Widziałem go w Bum-de-ra. Niezły był, ale gdzie mu tam do Gierasieńskiego.

— Ja bo zawsze mówię, żeby im tak Mesalkę posłać, toby dopiero oczy wybałuszyli!

— — — — —
 Po głębszym namyśle Krzysztof Kolumb postanowił urodzić się gdzieindziej.

2.

S Z E K S P I R.

Z TEATRU.

— Młody, wstępujący dopiero w szranki sceniczne literat, p, William Shakespeare, złożył zarządowi Zrzeszenia sztukę p. t. „Hamlet”. Sztuka „osnuta jest na tle życia” dworu duńskiego i wywołała żywe zainteresowanie w sferach artystycznych.

P. Shakespeare jest synem znanego w szerokich..
W kancelarji teatru.

— Kolego Kabotyński, mam tu sztukę. Może przeczytacie? To coś dla was. Kobyła, białym wierszem.

— Czyje to?

— Szekspira.

— Z francuskiego?

— Nie, oryginalne.

— Autor żyje?

— Żyje.

— To, wiecie, nie warto grać. Pretensje, fanaberje. I tantjemę mu płąć i po teatrze się szwęda, na próbach uwagi robi..

A jest przynajmniej rola dla mnie?

— Jest. Dlatego sztukę zakwalifikowałem. Za-gracie Hamleta. Chłop młody, przystojny, z dobrej rodziny, kobiety na niego lecą. Prawie nie schodzi ze sceny.

— A co robi? Uwodzi kogo czy jak?

— Chce zabić ojca czy ojczyma i namyśla się, chodzi i namyśla się..

— Zabić ojca na scenie? Ci nasi młodzi autorzy też mają, psiakość, pomysły! Morderstwo w teatrze? Mało tego mamy w życiu? Krytyka zerźnie. Nie zna-

cie Adasia? On strasznie śmierci nie lubi. Jeszcze do siebie weźmie i obrazi się...

— Szekspir jednak ma szczęście. Hamleta grają. Z Kabotyńskim w roli tytułowej.

Premjera. Nazajutrz młody autor czyta z bijącym sercem Kurjerka.

Recenzja.

„Wystawienie wczorajszej sztuki historycznej p. t. „Hamlet“ zaliczyć należy do najbardziej chybionych eksperymentów teatralnych. Temat zaczerpnął autor z historii Danji (ach, przepraszam, co mnie obchodzi Danja?). Utwór znamionuje zupełny brak techniki — szereg drobnych scenek, monologów, kilka farsowo-melodramatycznych pomysłów. Jeżeli chciano nam pokazać króla, czemu nie sięgnięto do Caillaveta i Flersa? Najstraszniejsze są chwile, w których autor próbuje być dowcipny (gdzie mu do Gyp'a!) Ordynarne, rubaszne koncepty budzą niesmak. Uroczą informator-ka moja rzekła mi wczoraj z powabnym uśmiechem *Fi donc!* Muszę jej przyznać słuszność.

Nawet świetna gra Kabotyńskiego, który był jak zawsze grand-seigneurzem i bon-vivantem w każdym calu nie zdołała uratować...

Szekspir wolał snąć, żeby go pogrzebano w Westminsterze, a nie w „Poranniaku“ i z tego względu urodził się w Anglii.

WARSZAWA W NOCY.

Noc, ziąb, księżyc. Godzina poanuszowa: 25 minut po dwunastej. Na cokole z napisem: „Mikołajowi Kopernikowi rodacy“ siedzi, wysunąwszy nieco prawą nogę, astronom toruński i piastuje swoją kulę i cyrkiel.

S C E N A 1 - a.

Çiz, jak mówią w komedjach — Szszpkowski Nie wiem, jak mu na imię, on sam też nie wie, jak mu na imię, jest bowiem chwilowo „w odmiennym stanie“ świadomości.

Szszpkowski. O! — Nareszcie ktoś jest. Przepraszam najmocniej. Przepraszam. Czy tu jest ulica *Szglya? Szczyglya?* Szszpkowski jestem — bardzo mi przyjemnie. Daruje pan, że go niepokoję, ale, jako urodzony, rodowity Warszawiak, zupełnie się teraz w tem mieście nie orjentuję. Czy — szanowny pan — jako nietutejszy — nie wie, gdzie jest ulica *Sszglya?*

Milczy, czy ma chrypkę? Panie! Odezwij-że się pan! Masz ci biedę, ktoś się zaziębił, umarł i zesztyniał. Panie! kto pan jesteś?

Kopernik. Kopernik.

Szszpkowski. Mówi. Bogu dzięki—mówi. Szszpkowski. Pozwoli pan, że się przysiadę. Ogromnie się cieszę, że pan przemówił... Już myślałem — jakie nieszczęście albo co. Bo tego lata to nawet na słońcu jest ośm stopni w cieniu — a cóż dopiero o tej porze! Co pan właściwie tu robi o tej porze na słupie?

Kopernik. Siedzę.

Szszpkowski. Aa! A kto pana tu posadził, panie Kop-Kopelman?

Kopernik. Nie czytał pan? Napisane jest przecież— wdzięczni rodacy.

Szszpkowski. Ha! Impertynencja, słowo honoru. Żeby człowiekowi z delikatnem zdrowiem taką posadę dawać. Czy to dla pana zajęcie? To dla nocnego stróża. A co pan w rękę trzyma, panie Kop-Kulebiak?

Kopernik. Planetarjum.

Szszpkowski. Aha. Aha. Rozumiem. Co takiego?

Kopernik. Wszechświat.

Szszpkowski. Aha! Wszechświat. Naturalnie. Myślałem, że bomba pilznera, ale bomba toby miała uszko. Ponieważ zaś nie ma ucha, to musi być oczywiście wszechświat. I tak dzień i noc pan tu siedzi?

Kopernik. Dzień i noc.

Szszpkowski. Skandal, słowo daję. I oddawna, panie?

Kopernik. Od kilkadziesiątu lat... z górą.

Szszpkowski. Okropność, jak u nas ludzi traktują. Kilkadziesiąt lat na tem samem miejscu siedzi i nie awansuje! Gdzieindziej toby pan już dawno się emerytury dosłużył. Pewnie pan nie ma protekcji, co? Jak to się pan nazywa, przepraszam?

Kopernik. Kopernik.

Szszpkowski. No tak. Nazwisko nie jest pierwszorzędne. Kopernik?... Powinien się pan jakoś przezwąć Koperski, Kopernicki — teraz już można. Uda pan, że panu papiery w Rosji zginęły i zmieni pan nazwisko. Ja się panem zajmę. Stosunki człowiek, chwalić Boga, ma. Wróblewskiego znam, Przepiórkowskiego znam z Kanarkowskim jestem na ty — gorszych idjotów od pana na zaszczytne stanowiska wypchnąłem. Siedzą sobie teraz jeden z drugim w fotelach i bębnią palcami po stole — deputat mają, pensję mają, dodatki drożyzniane...

Czytać i pisać pan umie?

Kopernik. Całe-m dzieło napisał: *De revolutionibus*.

Szszpkowski. Pst! Niech się pan tem nie chwali. De revolutionibus — broszura agitacyjna. Prasa się na pana rzuci. A ten, a jakie pan ma wykształcenie?

Kopernik. Uniwersytet w Italiej i w Krakowie skończyłem.

Szszpkowski. Uniwersytet? To za dużo. Będą nosami kręcili. Wolałbym, żeby 6 klas albo żeby pana z siódmej z odznaczeniem wyrzucono. A jaką pan ma specjalność? Adwokat?

Kopernik. Astronom.

Szszpkowski. Gastronom — to ja też — każdy jest gastronom. Ja się pytam o zawód? fach?

Kopernik. Astro-nom.

Szszpkowski. Astro-nom?! No, wiecie państwo! Coś podobnego, to mi się pierwszy raz w życiu zdarza. Literatów umieszczałem na poczcie, poetów w policji, malarzy w mące amerykańskiej — ale na astronomia jeszcze nie natrafiłem! Mój panie Kop-Kobryner, skąd się to panu wzięło, u djabła? Co za idea? Astro-nom? U nas? Z czego pan będzie żył? Chyba się pan chce bogato ożenić?

Kopernik. Nie.

Szszpkowski. No to pan z głodu umrze, zapewniam pana.

Kopernik. Ja już umarłem — 380 lat temu.

Szszpkowski. To i tak nadspodziewanie długo się pan trzymał! Co za głupstwa po ludziach chodzą! Chłopak młody, zdrowy, przystojny, zamiast się do handlu wziąć, albo na walucie spekulować, albo na posadę wstąpić — na astronomję się rzuca. To tylko w takim Zgierzu, jak Warszawa, jest możliwe. Astronom!

Teraz rozumiem, dlaczego pana posadzili na świeżem powietrzu. Bo i co z takim robić, rzeczywiście? Na co się pan komu może przydać? Darmozjad pan jest

próżniak, z grosza publicznego pan żyje, pracować się panu nie chce! Ot co jest!

CIŻ I MILICJANT.

Milicjant. Hej tam! Panie! Gdzieś pan wlaź? Na pomnik? Przepustkę pan ma?

Szszpkowski. Niby ja? A jakże. Mam — urzędową. Urzędnik ZUPAPU! Referent. Mam sól i szmalc pod sobą. Ale ten z kuflem, w szlafroku, nie ma przepustki! I żądam, żeby go wsadzono do kryminału. On tu całą ludność demoralizuje! Astronom! U nas? W samym środku miasta?! Przecież tędy dzieci do szkół chodzą? To przykład jest? Zachęta do pracy? Dowie się jeden z drugim pędrak, że można, nic nie robiąc, całe życie na słupie siedzieć i zgorszenie gotowe! Namnoży ich się tu tysiące. Za kilka lat na każdym rogu ulicy ktoś na piedestale przykucnie, wszechświat w łapę chwyci i będzie czekał, aż go państwo wyżywi. Czy to nas stać na to? Nie pójdę! Z miejsca się nie ruszam, dopóki tego pana stąd nie usuną! Szszpkowski jestem, Szszgła. Ja żądam, żeby on zginął w kryminale...

ZASŁONA.

INTERARMA.

(Sierpień roku 1920-ego).

1.

Teatr. Próba. Słoneczne południe. 29 stopni R. w cieniu. Cisza przed burzą. Otello i Desdemona. Otello ma znaczek Czerwonego Krzyża. Desdemona — opaskę, znaczek i kwiatek.

Otello. Djabli nadali! Literatura klasyczna—teraz! Szekspira z grobu wywlekają — w takiej chwili! i na taki upał! Czyś odmówiła pacierz, Desdemono?

Desdemona. Tak, panie.

Otello. Bez próby — i w tym stanie nerwów! Ludzie siedzą, jak w poczekalni u dentysty — nie wiedzą, kto i kiedy ząb im trzonowy wyrwie — graj. Szekspira!

Jeżeli sobie przypominasz jaki grzech, skruczą nie obmyty, to go natychmiast wypowiadaj.

Desdemona. Dla Boga, mężu, co znaczy ta mowa?

Otello. Coś robiła z nim sam na sam w Skolimowie?

Desdemona. W Skolimowie?

Otello. Tak.

Desdemona. W Skolimowie byliśmy na zdjęciach.

Otello. Z nim? On też się zdejmuję do kinematografu, na pożyczkę?

Desdemona. Nie, ale był z nami, bo to jego scenarjusz.

Otello. Ha! Jego scenarjusz!

Módl się, a prędko. Nie chcę cię zabić nieprzygotowanej.

Módl się więc!

Desdemona. Mówisz o zabiciu?

Otello. Tak jest. A w poniedziałek, w Bibliotece Publicznej na Koszykowej — też były zdjęcia? też jego scenarjusz!?

Desdemona. W Bibliotece spotkaliśmy się, żeby przejrzeć kostjумы historyczne w Encyklopedji Orgelbranda do propagandy plebiscytowej...

Otello. Tak. I poto schodzicie się w najbardziej odludnych miejscach! Propaganda!

Hm!

Desdemona. Boję się ciebie, boś straszny, kiedy tak dziko przewracasz oczyma.

Otello. Pomyśl o swoich grzechach. — Niewiniątko. A to co jest?

Desdemona. To jest papierośnica.

Otello. Pewnie, że nie kaloryfer. Ja się pytam, czyja to papierośnica?

Desdemona. Moja.

Otello. A? Poznajesz? Skąd tu zatem jego podpis — wygrawerowany?

Desdemona. Jeżeli literat, autor —

Otello... i oficer bez szarży!..

Desdemona. — chce mi ofiarować swój autograf, to chyba nie mogę odmówić?

Otello. Naturalnie, że nie możesz. I kto wie, czego ty jeszcze nie możesz odmówić w takiej okazji.

Desdemona. Cicho bądź! Milcz!

Otello. Przepraszam! Jaktó: Milcz! To moja „kwestja“! Ja mówię „milcz“!

Desdemona. Ale ja ci powiadam *prywatnie*—milcz.

Otello. A? prywatnie? To ja ci powiadam publicznie, że z tobą wogóle grać nie można. Ty się tak nadajesz do roli *Desdemony*, jak hiszpańska krowa do baletu rosyjskiego.

Mam miecz, widzisz? nigdy jeszcze

Lepszy nie zdobył boku wojownika.

Desdemona. Tak? To dlaczego się nie zapisujesz do służby czynnej?

Furdoński już jest w mundurze.

Otello. Gdym mieczem tym i tem ramieniem Torował sobie drogę przez zawady dwadzieścia razy większe...

Wiesz dobrze, że mnie nie wezmą nawet do kategorii C.

Mam rozedmę płuc i rozedęcie żył.

Mogę się pochlubić wrodzoną, skorą do czynu rzeźkością w nagłej potrzebie; jakoż gotów jestem do tej wyprawy przeciw Otomanom!

Desdemona. No więc idź do superrewizji. Na co czekasz?

Otello. Już krew we mnie zaczyna górę brać nad cierpliwością!

Jakto? Gdy lud jeszcze trwoga przejęty, skłonny do popłochu, wzniecać domowe kłótnie! na głównym odwachu?!

Desdemona. Popłoch?! Dlatego, że ty nie będziesz grał Otella? Phi!

Wystawią „Klub kawalerów” albo „Dziewiczy wieczór”.

Otello. Co ty gadasz właściwie? Ani jednej repliki nie pamiętasz!!

Desdemona. I tak nikt na spektakl nie przyjdzie. Ty sobie możesz odgrywać Otella, a ja moralność pani Dulskiej.

(Wchodzi Brabancjusz z rozetą Hallerowską.
— Rzec się zaczyna na nowo).

II.

Literatura.

Rewolucji w literaturze nie było jeszcze właściwie, ani rozruchów głodowych. Nikt nie szerzył popłochu, żaden—blady z przerażenia!—piernik nie opowiadał bladym z przerażenia współ-piernikom u Lourse'a „Wiecie — mówił mi pewien wojskowy, że Szekspir lada dzień się podda... Jest odcięty zupełnie — ani żywności, ani amunicji, Bernard Shaw żąda od niego

zupelnej kapitulacji! Marinetti wziął do niewoli Ibsena i traktuje go, kanalja, że włosy dęba stają. Romain Rolland na czele dziesięciu tysięcy kozaków wali prosto na Bayreuth! Saint-Saëns miał iść na pomoc Wagnerowi, ale Debussy grozi strajkiem powszechnym... Ani dodatków nie było nadzwyczajnych, ani kameloci z Browarnej nie wrzeszczeli w niebogłoso: Abdykacja Moljera! Henri Barbusse tworzy rząd tymczasowy!—Mimo to jednak... Coś się napewno stało w literaturze i w sztuce.

Nieliczni widzowie odczuwają to najlepiej w pustych salach teatralnych. Pozornie nie zmieniło się nic. Uszmlinkowani aktorzy chodzą po scenie i recytują „Klub kawalerów” albo „Dziką kaczkę”. Ale kto ma „oczy ku widzeniu” czuje to wyraźnie: grają farsę — a katafalk stoi i gromnice się palą. Grają dramacik historyczny, kostjumowy, a na scenie siedzi całkiem współczesny sędzia i każe sprowadzić pod konwojem Edmunda Rostanda, oskarżonego o fałszowanie poezji w „Romantycznych”, o puszczanie w obieg podrabianego liryzmu i oszustwo w celach zysku. I oskarżony Edmund Rostand broni się przy pomocy Belmonta jak może, rymuje, łka, deklamuje, a jednak jeszcze przed spuszczeniem kurtyny skazują go na utratę praw i przywilejów tudzież zwrot kosztów sądowych. I od Henryka Ibsena do Henryka Bernsteina, od Zygmunta Krasińskiego do Zyzia Przybylskiego — cała literatura jest na ławie oskarżonych, pod sądem — albo na wolności, za kaucją. — Panie — mówi ni stąd ni zowąd (najpotulniejszy człowiek, pocziwa „hijena gazetowa” z kawiarni — czytałem wczoraj w nocy „Nieboską”. To knot. W ósmej gimnazjalnej każdy prymus taki dramat napisze. — O sławie literackiej, o nieśmiertelności pisarza decyduje zawsze szczupła garstka ludzi. *It is by the passionate few that the renown of genius is kept ali-*

ve. Zdaje się, że owi *passionate few* — garstka zacie-
 trzewionych — potracili zupełnie głowy teraz, kiedy —
 jak piszą gazety — kultury trzeba własną piersią bro-
 nić. Uczeni przestali wierzyć w naukę, malarze ze
 smutną autoironją patrzą na pędzel, lirycy mają pogar-
 dę dla rymów męskich i żeńskich, aktorzy jak okowitę
 z fuzlem traktują białe wiersze. Czy to, cośmy robili
 dotychczas miało jaki sens? „Czy to, co wielkie, było
 doprawdy tak wielkie?” Czy nasz rachunek różniczko-
 wy i nasz „dramat mieszczański”, nasza filozofja Ber-
 sonowska i nasz *pointylizm* w malarstwie, były dopraw-
 dy skarbem tak niesłychanie cennym? Świadomie i pod-
 świadomie borykają się najskromniejsi ludzie — dyrek-
 torzy teatrów, recenzenci — z zagadnieniami, nad któ-
 remi Tołstoj rozmyślał w Jasnej Polanie.

A tymczasem raz wraz odbywa się jakaś „obła-
 wa dziennikarska” na mieście, jakiś patrol krytyczny
 sprowadza tego czy owego Bałuckiego do okręgu. I ro-
 zbijają poczciwinę do naga, stawiają przed komisją.
 Badają go, mierzą, pytają o feletry ukryte. Rezultaty
 tej *superrewizji* literackiej są chwilami przygnębiające-
 mi. Człowiek — jeszcze wczoraj zdawałoby się zdrów,
 młody, wesół i z rumieńcami nieśmiertelności na twa-
 rzy — dziś już nadaje się tylko do służby garnizonowej.
 Ibsen? — kategoria C. Moljer? — do obierania kartofli
 w Modlinie. Esteci i miłośnicy baletrystyki biegają po
 zgiełkliwych ulicach i szukają autora, który by ich
 przed zdenerwowaniem, nudą, szalem i psychozą obro-
 nił — napróżno. Czytają Biblię, Dostojewskiego, Co-
 nan-Doyla, słownik angielski — nie pomaga.

Jest w czasach naszych jeden tylko Wielki Mag —
 czarodziej, który za drobną opłatą wrywa klienta
 z denerwującej terażniejszości i przenosi błyskawicz-
 nie na szczyty Himalajów, w głębiny morza, wiezie ra-

zem z Shackletonem pod biegun południowy albo ze Stanleyem w skwarne pustynie afrykańskie. Wyczarowuje z szarej ściany cow-boyów amerykańskich, bonvivantów paryskich, włamywaczy londyńskich, samurajów japońskich, beduinów, hindusów, kacyków, dyplomatów. Roztacza wizje, których haszysz nie daje i obrazy, których fantastyczność zawstydziłaby wschodnią Szeherezadę. *Odwieczne dążenia ludzkości ku Wszczęstuce* ziściły się wreszcie i powstał — Kinematograf.

Gdyby nasi młodzi poeci mieli dobrawdy choć kroplę krwi futurystycznej w żyłach — pisaliby dniem i nocą poematy o *kinie*. Niktby tego nie czytał, ale spełnilibyśmy przynajmniej obowiązek wobec potomności.

PROTEST GUTENBERGA.

Wczoraj w południe zaskoczyłem znienacka Hilarego na Marszałkowskiej. Wybitny ekonomista stał wpatrzony w wystawę kantoru bankierskiego i przyglądał się uważnie lejom rumuńskim, lewom bułgarskim i innym różnobarwnym papierkom.

— Mam zamiar — rzekł mi uroczyście — *zmie-*nić tapety w moim pokoju i nie mogę się zdecydować. Korony austrijackie czy piastry tureckie? Chociaż i serbska pożyczka państwowa ma też wcale piękny deseń. Zwłaszcza, gdyby u góry dać szlaczek z rubli dumskich, a sufit wylepić kierenkami, efekt byłby wcale niezły. Wogóle jednak konstatuję ze smutkiem, że państwa europejskie za mało zwracają uwagi na stronę dekoracyjną banknotów. Wskutek tego prawdziwi zbieracze wolą kolekcjonować marki pocztowe, albo bilety tram-

wajowe i wartość naszych pieniędzy papierowych — za Oceanem — jest coraz mniejsza. Czyś słyszał na przykład żeby jaki filatelista amerykański miał album rubli krymskich? Nie! — Albo czy młode panny w Ameryce kolekcjonują nasze stumarkówki? Nie. Wolą znacznie droższe, gorzej odbite i gorsze w kolorze karty pocztowe. I dziwić się tu, że waluta nasza spada i dolar kosztuje już sześćset marek. Ministerjum skarbu nie umie się zdobyć na żaden pomysł. — Wyobraź sobie choćby taki dekret, oficjalnie wydany, ogłoszony przez osoby miarodajne: Gwarantujemy, iż tysiącmarkówki serji D, umiejętnie złożone razem, tworzą obraz, którego treść zaczerpnęliśmy z mitologii greckiej. Panna Vanderbilt, panna Carnegie i panna Rockefeller wyrywają sobie nawzajem serję D, *puzzle*, ułożony z banknotów naszych staje się tematem wszystkich rozmów salonowych w Ameryce, co mówię! — jedną z najmilszych i najulubieńszych rozrywek towarzyskich na Fifth-Avenue, serja D. robi wogóle furorę, waluta nasza idzie w górę i możemy wreszcie sprowadzić znów kilka puszek mleka skondensowanego. Albo wyobraź sobie, że zamiast długiego napisu „Rzesza Niemiecka przyjmuje odpowiedzialność itd.“, umieszczamy na banknocie aforyzm krótszy i prostszy „Wo ist die Katze?“, dodając oczywiście łamigłówkę obrazkową w rodzaju tych, które produkowały dawniej pisma tygodniowe.

— A propos — wtrąciłem — czytałeś w gazetach...

— Nie czytałem — przerwał mi gwałtownie Hilarj. — Gazet nie czytuję od marca r. b. Doszedłem do wniosku, że po strejku zecerów, dziennikarzy, roznościcieli przyszedł wreszcie czas na strejk czytelników. Postawiłem swoje warunki i strejkuję aż do chwili, kiedy zostaną przyjęte. Lord Northcliffe i kilku innych potentatów prasowych przysyłali już do mnie różne de-

legacje, prosząc, abym się z nimi ułożył — jestem niewzruszony. Powiedziałem krótko: albo żądania moje będą przyjęte *en bloc*, albo idźcie z torbami... Ja żadnego pisma nie biorę do ręki.

— Jakie to żądania, Hilary?

— Przedewszystkiem każdy numer gazety codziennej ma zawierać nie więcej niż 95% kłamstw. Jeśli na pierwszej stronicy Lenin aresztuje Trockiego, to na drugiej Trocki nie ma prawa aresztować Lenina. Wogóle po bankructwie tylu wielkich mocarstw, należy i to „szóste mocarstwo“ — prasę zmusić do pewnych reform. Którejś nocy przyszedł do mnie nieboszczyk Jan Gensefleisz-Gutenberg, wynalazca czcionek ruchomych, i począł jęczeć, kając się, bić w pierś i zawodzić. „To ja jestem wszystkiemu winien — biada! — Ja wywołałem wojnę europejską, ja szerzę zamęt i spustoszenie w świecie! Tłocznie drukarskie są przyczyną wszystkiego złego, maszyna rotacyjna jest najbardziej piekielną z wynalezionych dotychczas. Czy sądzi pan, że d’Annunzio poszedłby na Fiume, gdyby nie to, że pisze teraz balet z panną Idą Rubinstein w roli tytułowej i chce z tego powodu wywołać huczek w prasie? Panie! — zawodził dalej — wszystkie wielkie wynalazki obracano na złe, ale to co uczyniono z moim, zakrawa doprawdy na urągowisko. Więc ja się poto całe życie głowiłem, żeby dać wreszcie ludziom maszynę, która drukuje codziennie pudy fałszów, kłamstw, sterty bezużytecznej bibuły i bezwartościowych bankocetli, tomy humbugów literackich? A, do stu piorunów. kopiujcie sobie te bzdury „od ręki“! Będą mniej liczne i mniej szkodliwe! Wycofuję niniejszem mój wynalazek z obiegu!

Musiałem staruszkowi przyrzec, że się jego spr-

wą zajmę i że jego honor uratuję. W tym celu właśnie strajkuję, jako czytelnik, od ośmiu miesięcy.

To mówiąc wyciągnął machinalnie pięć marek z bocznej kieszeni i nabył od wrzeszczącego chłopca „dodatek wieczoro”.

K I N O.

— Owe codzienne zestawienia i paralele między „dawniej” a „dziś”, między „przed wojną” a „teraz” — są bajecznie nudne — mówił mi któregoś niedzieli Hilary. — Co mnie obchodzi, że kilka lat temu funt mięsa kosztował w Serbji piętnaście fenigów, a cała kamienica w jednym z miast arabskich czterdzieści marek? Co mnie obchodzi, że dorosły byk za czasów Dürera kosztował kilka złotych, a więc tysiąc razy mniej, niż obecnie stary but z lewej nogi kosztuje w Moskwie? Ze zjawisk społecznych i gospodarczych jedno mnie zastanawia. Wyobraźmy sobie, że w piękny słoneczny dzień poświęteczny — „przed wojną” — pisma europejskie drukują telegram następujący:

Warszawa. dn. 16 XI (P. A. T.). W mieście naszym sroży się od wczoraj uiezwykły głód widowski. Epidemja wybuchła nagle i ogarnęła po kilku godzinach całe miasto. Pomimo mrozu i śnieżycy ludzie biegają od kina do kina, gniotą się nawzajem w poczekalniach i zdobywają szturmem kasy. Tłumy zgłodniałych a spragnionych Erny Moreny i Tolnesa zaiegają ulice, pomrukując groźnie. Uruchomiono Pogotowie. Zaalarmowano straż ogniową i wojsko.

Oczywiście korenspondenta, „nadawcę” zamknę-

libyśmy w szpitalu warjatów. A jednak — dziś głód widowiskowy jest faktem, a straszny „szkorbut kinematograficzny“ obserwujemy co wieczór na ulicach Warszawy. Ludzie o rozszerzonych źrenicach i rozpalonych gorączką policzkach wystają godzinami przed *Olimpiami*, *Corsami*, *Lunami*, *Sorrentami* czekając, jak na zbawienie, na wolne miejsce. Medycyna znalazła środek na tyfus, ale jest bezsilna wobec *kinofebry*. Lekarze nie wiedzą co właściwie mają zastrzyknąć pacjentom, którzy co dzień od piątej do jedenastej siedzą bez ruchu na „Zygomarze“ albo „Pieszczoszcze miliardera“ i odmawiając wszelkiego posiłku, łykają jedynie w antraktach landrynki i nugat. Wykryto już podobno zarzek raka, wynaleziono eliksir młodości, ale *bakcyle* najstraszniejszej z chorób — *Tolnesitis* wraz z jej skutkami: *Miamarazm*, *Morenitis*, *Polinegryzm* i *Hennypor tenizm* — kpią sobie z naszych bakterjologów.

Mojem zdaniem należy się z kinomanją pogodzić i życie do niej odpowiednio przystosować. Czemu właściwie profesorowie uniwersytetu wykładają jeszcze w pustych i zimnych salach? Powinni się kazać zdjąć wraz z tablicą i katedrą w wytwórni „Buhaj-film“ i naśpiewać płytę gramofonową. W ten sposób wykładu z matematyki albo fizyki teoretycznej słuchałoby co wieczór kilka tysięcy osób. Nauka, urozmaicona występami Jacka-orangutanga albo detektywa Deebsa, zyskałaby na popularności, a uczeni na środkach do badań własnych. Niech mi też kto wytłómaczy, poco i dla kogo istnieją jeszcze teatry? Czyż nie lepiej byłoby oglądać „Trubadura“ na ekranie przy akompaniamencie walca z „Wesołej wdówki“, zamiast słuchać starej, oklepanej muzyki operowej w wykonaniu lekko fałszujących chórzystów? Albo współczesna twórczość dramatyczna! Ileby zyskał taki „Czar“, „Romans“, „Taniec

przed zwierciadłem", gdyby go zamieniono na pantomi-
nę, skasowawszy zupełnie nędzny i rażący tekst mówiony! Komu wreszcie z ludzi rozsądnych zależy na
tem, aby posłowie Iksinowski czy Igrekała rzucali dom-
rodzinę, gospodarstwo i jechali osobiście do stolicy
dla wygłoszenia jakiejś nudnej mowy parlamentarnej? Zdolny *operator* mógłby zdjąć ich najbardziej patetycz-
ne gesty — na miejscu, w Zgierzu czy Drohobyczu —
przywieźć filmę do Warszawy i przeświecić przy dźwię-
kach odpowiednio dobranego *potpourri* z melodji po-
wszechnie znanych i lubianych. Jakby się podniósł odrazu
poziom życia politycznego u nas! Żadnych burz parla-
mentarnych, żadnych, „incydentów“ sejmowych!

Minister aprowizacji ukazuje się na ekranie i po-
rusza wargami — głosu nie słyhać, ale i tak wiadomo
o co chodzi. Kilka gestów — poczem pan minister
wychodzi i siada do automobilu. Publiczność jedzie wraz
z nim. Widać ogonki przed składnicami, ogonki przed
sklepami, ogonki przed składami, ogonki przed „papiero-
siazkami“ i ogonki przed ogonkami. Wtem — stajemy:
Pan minister aprowizacji spotyka pana ministra skar-
bu, który odeń usiłuje pożyczyć dwadzieścia marek.
Obaj panowie ruszają wargami — głosów nie słyhać,
ale wiadomo o co chodzi. Nagle, żywo gestykując,
nadbiega obdarty minister robót publicznych i wskazu-
je na ministra marynarki bez portów, podążającego za
nim z wyciągniętą ręką. Nic nie słyhać, ale świetnie
wiadomo, o co chodzi. Po krótkiej naradzie wszyscy
panowie postanawiają udać się na dłuższą naradę dla
poprawienia stanu waluty. Pan minister skarbu poży-
cza markę od ministra aprowizacji i umieszczą w po-
wietrzu na wysokości głowy. Marka spada. Pan mi-
nister skarbu chowa tę markę do kieszeni, pożycza
inną od ministra przemysłu i handlu i stawia ją kan-

tem na swoim cylindrze. Marka spada. Pan minister skarbu pożyczka *dwieście* marek od pana ministra kolei i idzie na kolację do Brystolu. Koniec części pierwszej. Dalszy ciąg za chwilę. Orkiestra gra „Kaj się działy one lata“.

Gdzie tu — przy dobrej reżyserji — jest miejsce na burdy, awantury, *rewolucje?*

MELODRAMAT ROTACYJNY.

Wstrząsający film agitacyjny! Dramat! przeszło 10000,03 metrów długości! *Jedyna prawdziwa historia wojny!* Prawo reprodukcji zastrzeżone! Copyright by Bruno Winawer, Warsaw, 1920!

On. Ona. Ona jest piękna. *On* chodzi na wiece do Filharmonji i ma *orientację zachodnią* Kochają się. Siedzą na kanapie. — Chcesz być moją, najdroższa? — Pomów pan z *papą*. — *On* idzie do *papy*.

Papa czyta właśnie *gazetę dwugroszową*. Ma *orientację wschodnią*. — *Córkę* moją? — panu? Wskazuje gazetę, wskazuje drzwi. — Nigdy! Nasze przekonania... *On* — chce się otruć. Bar. Muzyka. Je kielbasę z kapustą. Pogotowie. Szpital. *Ona* przynosi kwiaty. Lekarz: „nie tracę nadziei!“ Dalszy ciąg za chwilę.

Papa tymczasem skupuje cukier i mydło. *Papa* spekuluje na walucie. Rumunja. *Papa* dostaje posadę w Komitecie. *On* — opuszcza szpital. Błady, wynędzniały. Dodatek nadzwyczajny. Rewolucja w Rosji. Rząd liberalny. Upadek caratu. Milukow. Kiereńskij. *On* — czyta i zmienia *orientację* Pędzi do *papy*. Klęka. Dodatek trzyma w ręku. Ale *papa* czyta już inną gazetę.


„Zmienił pan orientację? Ja też!” Wskazuje na gazetę, wskazuje na drzwi. *On* — chce się otruć. Kielbasa z kapustą zarekwirowana w całym mieście. Idzie nad Wisłę, by się utopić. Wisła zamarzła. Nabywa postronek. Postronek pęka. Dalszy ciąg za chwilę.

On — stoi blady i wynędzniały, na rogu Wspólnej i Marszałkowskiej. Ogłoszenie. *Polnische Wehrmacht*. Brak środków do życia. Zaciąga się do wojska. Mundur. Leci do papy samochodem wojskowym. Ale *papie* zabrano cukier, mydło, melasę i kłamki. Bolszewizm. Brześć. Ofensywa. Foch. *On* — wskazuje na mundur i żąda! *Papa* wskazuje na upadek Niemiec i na drzwi. — Córkę moją? Panu?! Nigdy! Nasze przekonania...

On siedzi w Szczypiornie. *Papa* jest za łapówką na wolności. *Ona* wstępuje do szkoły dramatycznej Lorentowicza. Ma kartki do wszystkich teatrów. Chodzi na współczesne sztuki historyczne. Abdykacja Wilhelma. Dmowski. Paderewski. *Jego* — wypuszczają. *Papie* — umorzono sprawę. *On* siada do samochodu, aby oznajmić *papie*, że zmienił poglądy polityczne. *Papa* siada do samochodu, aby odszukać *go* i zapomnieć mu uraz i zawiadomić, że także zmienił poglądy polityczne. Oba samochody pędzą po mieście i rozgniatają przechodniów. *Ona* wciąż chodzi na współczesne sztuki historyczne. Straszny wypadek! Zderzenie samochodów! *On* i *papa* wylatują na bruk. Padają na głowę. Padają sobie w objęcia. Są lekko ranni, ale szczęśliwi. Pędzą do *niej*. *Ona* jest na sztuce Hertza. Po raz *drugi*. Próbowwała dotrzeć do końca. Właśnie wynoszą ją z teatru. Obłąd. Umiera. Obecni zdejmują kapelusze. Za późno. Pożar Teatru Rozmaitości. *On* i *papa*, złamani bólem i sterani życiem, zakładają towarzystwo akcyjne komisowo-ekspedycyjne „Japano-pol.” Koniec.

G Ł Ó D P A P I E R O W Y .

Nie możemy już dłużej ukrywać tego faktu: w kraju szerzy się głód papierowy. Na ulicach miast widać wynędzniałe, wychudłe, anormalnie wydłużone oraz zabarwione dzienniki, nawet najsolidniej zbudowane organy prasy gwałtownie żółkną, sinieją, umierają masowo. Raz wraz gromadka krewnych i przyjaciół odprowadza jakieś pisemko na miejsce wiecznego spoczynku. Co będzie dalej? Co się stanie w chwili, kiedy rozdziawione paszcze maszyn drukarskich chwycą na ząb i pożrą ostatnią belę papieru? Czy nastąpi wtedy koniec świata?

Ekonomista Hilary, któremu zadałem to pytanie, zmarszczył czoło, zapalił papierosa i rzekł poważnym, stentorowym głosem, co następuje: 

— Życie współczesne, jak to widać z naszej literatury dramatycznej, jest tak nawskroś papierowe, że raptowne zniknięcie wszelkiej bibuły może wywołać katastrofę. Co poczną krocie urzędników ministerjalnych bez papieru? Czy wyobrażasz sobie biuro państwowe bez akt, dzienników, rejestrów, kopjałów? Czy wyobrażasz sobie szefa sekcji albo prezydenta ministrów, który pędzi na sesję z tabliczką szyfrową i gąbką, jak uczeń wstępnej klasy do szkoły? Czy wyobrażasz sobie mury naszego miasta bez drukowanych rozporządzeń Anusza? Zaprawdę, dziwny to będzie dzień, w którym bibuła zniknie, jak kamfora. Na ulicach i placach publicznych pojawią się pachoty miejskie w barwnych szatach średniowiecznych i zatrąbiwszy na wsze strony krótką uverturę, recytować poczną z pamięci najnowsze „obwieszczenie” komisarza w sprawie wyszynku napojów wyskokowych. Nocą nikt nie będzie mógł się wylegitymować papierową przepustką. Obywa-

tele, uprawnieni do krążenia po ulicach między 12-tą a 3-ią będą nosili na szyjach drewniane kołatki, jak szwajcarskie krowy.

Przy odpowiednim doborze tych przyrządów grono urzędników, wracających po północy z kasyna albo gromadka *bon-vivantów* warszawskich wydawać będzie zdaleka dźwięki, które mogą świetnie imitować koncert na ksylofonie. Książeczki paszportowe zostaną również skasowane zupełnie. Obywatelowi, udającemu się za granicę albo odbierającemu pieniądze na poczcie, odpowiedni urząd państwowy wytatuuje w dowolnie obranem miejscu imię, nazwisko, zawód, wyznanie i cel podróży. Nikt nie będzie przeto gubił dokumentów osobistych; zamiast szukać gorączkowo po kieszeniach i denerwować siebie i współtowarzyszów podróży, pasażer obnaży poprostu na granicy właściwą część ciała.

I wytarte, obszarpane, brudne marki znikną definitywnie z obiegu. Jednostką monetarną będzie rogowy guzik od inekspyrnabli z inicjałami Grabskiego. Zyskają na tem stanowczo nasi młodzi uczeni, docenci, którzy—przynajmniej w pierwszych dniach miesiąca, zaraz po odebraniu pensji,—usuną jako tako bardziej rażące braki w swojej garderobie. Zresztą guzik jest fonetycznie lepszą nazwą, niż złoty polski, jest bowiem łatwiejszy do wymówienia dla cudzoziemca.

— Przez litość, człowieku! A prasa, a literatura?! Co się z niemi stanie?

— Prasa oczywiście przestanie istnieć, a wraz z nią przeróżne Kolczaki, Petlury i inne dziennikarskie wymysły. Świat się uciszy nieco, uspokoi. Ludzie, niepodżegani przez drukowane odezwy, opisy, wiadomości alarmujące dojdą jakoś prędzej do porozumienia. Literatura piękna będzie kwitła, jak kwitła za czasów Ho-

mera. Poeci będą pisywali wiersze na tabliczkach woskowych albo na blatach marmurowych w Ziemiańskiej, w każdym razie nauczą się władać stylem, co im wyjdzie na dobre. W dramacie wrócimy poprostu do tak zwanej *commedia dell'arte*. Autor przyjdzie do teatru, zgromadzi aktorów, powie im kto ma być Marją Leszczyńską, kto rotmistrzem von Waldekiem, a kto Józefem Poniatowskim, opowie im krótką anegdotkę z Encyklopedji Orgelbranda, poczem artyści udadzą się gremjalnie na scenę i odegrają — bez egzemplarza i bez suflera! — naprędce zaimprovizowany dramat historyczny. Publiczność nic na tem nie straci, przeciwnie! zamiast nudnego, wymęczonego gdzieś w ciasnej izdebce tekstu, otrzyma świeżą „prosto od krowy” twórczość. Recenzentów ani krytyków zawodowych nie będzie oczywiście, niektóre tylko okazy — wypchane — zachowamy w Muzeum etnograficznym. Powoli typ fachowego, zawodowego literata zniknie całkowicie. Zamiast twórczości indywidualnej, będziemy mieli, jak ongi, przed wiekami, twórczość ludową, zbiorową. I jak dziś kolportujemy dowcip od „Lourse'a”, dowcip, którego autorem jest cała gromada ludzi, tak będziemy kolportowali jutro sonet, ułożony przez „Zwolenników gry szachowej”, wiersz liryczny, wyłoniony ze „Związku właścicieli domów” i utwór kabaretowy, skomponowany przez dom poprawy dla małoletnich przestępców w Studzieńcu.

Po głębszym namyśle dochodzę do wniosku, że wcale nie będzie na świecie gorzej, niż jest obecnie.

HIGH LIFE.

Już „prawie wszystkie tygodniki i miesięczniki wprowadziły ten dział; artykuły o modach i feljetyony pod tytułem „*wetna zwycięża*” albo „jedwab czy velour” albo wreszcie „trykot a dekolt” należą do najpoczytniejszych, język literacki pstrzy się, mieni, połyska od *granatowych gabardin, ukośnych plisek, lam, dżetowych gałek, czarnych welwetów* i innych mocnych wyrazów, których człowiek normalny — nawet ze słownikiem w ręku — zrozumieć nie może. Warszawa traktuje najwidoczniej zupełnie poważnie swój komiczny sobriket-przezvisko, ma się na serjo za „Paryż Północy” i próbuje zaawansować na stolicę mody. Niechże i tak będzie, owszem. Jedno tylko mnie, jako bądź co bądź mężczyzną, martwi i gryzie. Wciąż jest mowa o wycięciach, podpięciach, biodrach, krynolinach, malinowych gazach, toczkach, nikt natomiast nie myśli u nas o cylindrach, melonach, smokingach, cut-awayach i poproście spodniach. Dlaczego poprzestajemy na kostjumach damskich?! dlaczego aspiracje nasze ograniczamy do „Paryża Północy”, kiedy moglibyśmy za jednym zamachem zostać również „Londynem Wschodu”? Dlaczego wysilamy się tak bardzo „dla pań” i nie robimy nic „dla panów“?!

Wygotowałem w tej sprawie memorjał i przedłożyłem go, jak zwykle, jednemu z najwybitniejszych ekonomistów młodszej generacji, Hilaremu.

Młody erudyta wysłuchał mnie uważnie, namyślił się i rzekł:

— Masz zupełną rację. Przyszłość nasza to — konfekcja *męska*. Tam, gdzie o toalety kobiece chodzi, kopjujemy poproście niewolniczo wzory zagraniczne. Pomysłowość, genjusz rodzimy zaznacza się dopiero

w naszych strojach *for gentlemen*. W tej dziedzinie pracuje twórczo cała inteligencja kraju, tu działamy owocnie wszyscy — robociarz i profesor wszechnicy, artysta i nauczyciel kaligrafji. To też już dzisiaj osiągnęliśmy rezultaty, których Europa, ba, Ameryka! pozazdrościć nam może. Roi się od nowych a śmiałych idej, nieoczekiwanych zestawień, symfonji barwnych. Oto przykład jeden z wielu. Spotkałem wczoraj Mundzia, który jak ci wiadomo, jest docentem uniwersytetu i pozornie kwestjami tualetowemi interesować się nie powinien. A jednak — ten człowiek wyszedł na ulicę — w zadymkę i mróz — specjalnie poto, aby lansować nową modę zimową. Marynarka zielono-szara, wykonana całkowicie z pokrowca na meble, spodnie z tak zwanego brezentu albo rogożki. Do tego pantofle tenisowe z podeszwami ażurowemi. Na ramionach narzutka, lekko marszczona, przerobiona z kołdry, do której jakaś dobrotliwa ręka przymocowała guziki rogowe. Całość podszyta wiatrem. Kapelusik — ze względu na 10 stopni mrozu — *canotier* słomkowy. Nie wiem, czy się ten kostjum powszechnie przyjmie, ale wiem, że jest przynajmniej oryginalny i nieskopjowany z londyńskiego „Tatlera”. Kilka dobrych pomysłów miał inny nasz inteligent, jeden z bardziej znanych plastyków, krytyk, publicysta, esteta, człowiek wogóle dużych zasług i wytrwały pracownik. Oto jego kreacja. Bluza, zapięta wysoko pod szyję na agrafkę — bluza, która czyni zbytecznemi koszulę, kołnierzyk i mankiety, — *inexpymable* — szarawary albo „*juppe-culotte*”, w razie silniejszych mrozów — lekka pelerynka zakopiańska. Na nogach kalosze, w których dziury tak są rozmieszczone, że nie koincydują z dziurami w butach. Nakrycie głowy — parasol.

Im głębiej się nad tą sprawą zastanawiam, tem

jaśniej widzę, że jakiś gwałtowny ruch estetyczny szerzy się w kraju. Tak zaniedbani dawniej poeci, literaci, publicyści zaczynają narazie myśleć poważnie o swojej powierzchowności. I trzeba przyznać, że niektórzy osiągnęli bajeczne wyniki kolorystyczne. Oto naprzykład kilka kostjumów wieczorowych. Czarna marynarka z jedwabnym kołnierzem szalowym, przerobiona ze smokinga, kamizelka barchanowa w rzucik, do tego spodenki krótkie, tyrolskie, na łydkach owijacze, na stopach pantofle ze skóry, zdartej z dawnych roczników „Chimery”. Jako strój wizytowy przyjął się w ostatnich czasach żakiet, nicowany na trzecią stronę, albo cut-away, przerobiony z tużurka. Jeden wyróżnia się ogromną ilością kieszeni w zupełnie nieprawdopodobnych miejscach, drugi posiada szwy we wszystkich kierunkach geometrycznych. W bieliźnie poprostu—nowa wiosna! Jaki dobór kolorów, jaki śmiały zwrot ku nowym horyzontom! Do fraka kładziemy przeważnie barwną miękką koszulę sportową z przypiętymi do niej białymi, sztywnymi mankietami. Noszenie samych tylko mankietów i kołnierzyka, bez koszuli, modne jest jedynie w sferach postępowych tudzież wśród nauczycieli muzyki. Zresztą wydam wkrótce niewielki traktacik matematyczny p. t. „Maximum dziur w całym”, gdzie mówię szerzej o bieliźnie naszej inteligencji. Odsyłam cię do tej pracy źródłowej.—

LITERATURA PIĘKNA W DOBIE WOJENNEJ.

(Próba syntezy i temat do rozprawy doktorskiej).

Motto: *Uj, wiosna jest, w ogródku
rosną sosny...*

1. Musimy koniecznie i w te pędy postarać się o to, aby ułatwić zadanie historykom przyszłym. Mu-

simy gromadzić notaty, pisać pamiętniki, memoir'y, zdejmować się masowo do kinematografu, notować wrażenia, zbierać własne i cudze listy. Inaczej — z ziem dziejopis przyszły, zrażony trudnościami, zamiast pisać o nas i o naszych czasach historycznych, zwróci się raczej ku wojnom Punickim, wojnie Białej i Czerwonej Róży, albo poprostu do *Bataille des fleurs* w Nicei — traktując Wojnę Światową lekko, a nas jako hetki tudzież pętelki. Istnieje zwłaszcza obawa, że przyszły *badacz literatury*, rozejrzawszy się w naszym dorobku duchowym, machnie ręką, wzruszy ramionami, przeprowadzi — swoim zwyczajem — paralelę, postawi pana Fijołkowskiego obok Ajschylosa, pana Wrzosta i Błasta obok Ariosta, pana Chwata i Skrzata obok Petrarcki, wzruszy ramionami, machnie ręką, powie „*Inter arma silent musae*“, albo „*Lasciate ogni speranza*“, albo „*Haben Sie den kleinen Cohn gesehen*“ i stwierdzi, żeśmy nic nie wydali i nic nie stworzyli. Epoka wojny europejskiej była dla literatury pięknej tem, czem są „ogórki“ dla dziennikarstwa — *Saison morte* i tyle.

Brońmy się i nie dajmy się!

2. W dobie wojennej produkcja literacka — jeżeli ją mierzyć ilością dzieł drukowanych — zmalała zatrważająco. Przed wybuchem kataklizmu dziejowego przypadało u nas, jak wykazuje Tenenbaum w „Roczniku statystycznym Królestwa“ „licząc na rok i głowę mieszkańca“ 15 powieści historycznych, 7 romansów psychologicznych, 813 wierszyków o wiośnie, maju i raj, 315 poematów o Zielonych Świątkach. Te czasy minęły — to prawda. Ale, panowie historycy, nie dajcie się zwieść pozorom. Tworzymy! Drukujemy mniej, bo nam papieru brak, ale tworzymy.

Istnieją t. zw. dzienniki mówione, *journaux parlés*, zdarza się, że cała twórczość literacka, zamiast szu-

kać ujścia przez tłocznie drukarskie — zawrze się po prostu w żywym słowie. Taki okres zwiemy okresem twórczości ludowej albo *gminnej* (por. Orgelbrand mniejszy „Historja literatury“ tudzież Ćwierczakiewiczowa „365 obiadów“). Cechą tego okresu główną jest to, iż utwory poetyckie, które wydaje, nie mają formy sztywnej, skończonej, ale są lotne, przenoszą się z ust do ust, ustawicznym ulegając zmianom. Ktoś np. wstaje rano, powiada sobie ni stąd ni zowąd „Ameryka — panie dzieju — Japonja“ i idzie do Loursa. Znajomi dorzucają coś nie coś i raptem powstaje epepeja równie piękna i pełna fantazji poetyckiej, jak dawne klechdy i baśnie. Że nie wiadomo, kto właściwie jest jej autorem i że nie była drukowana, ma być przeto gorsza od przedwojennych wierszydeł po pismach? Żądam odpowiedzi kategorycznej, panowie historycy! czy chcecie negować twórczość epicką Lourse'a? ballady Udziałowej i rapsody rycerskie Semadeniego?!

3. Albo liryka! Jakież to bujny rozkwit liryki widzimy w czasach obecnych! Jeszcze cztery lata temu jedynym tematem dla poety lirycznego u nas był Nowy Rok, albo Trzy króle, albo Tłusty czwartek. Dziś poezja liryczna rozlała się szeroko. Objęła „Konia“, „Kawiarnię“, „Panienkę z magazynu“, „Prezydenta Wilsona“. Na jeden tylko, co prawda wysoce zajmujący temat „Hacaca“, napisano *cacacały* szereg utworów. Młodzi lirycy śpiewają o ryżu, o szmalcu, o Zuzannie, o Jadzidożkarce, o ogonku, o Koniu, o Zuzannie. Śpiewają o wiosnie, tramwajach, Hohenzollernach. Śpiewają „Ja wenn das der Petrus wüsste“, śpiewają „Paula, mach die Bluse zu“, śpiewają „Marie j'ai vu ta tête par la fenetre“, śpiewają „Youp-ay-ady-ay-ay“. Śpiewają o paskarzach, o mące, o śledziach. Twórczość liryczna płynie szerokiem korytem. Że nie zawsze zamienia się

na farbą drukarską mamy-ż ją lekceważyć. Nie! Zano-
tujemy jedynie, że i liryka weszła w okres *mówiony*,
albo raczej *śpiewany*. Słowo poetyckie łączy się ściśle
z muzyką (przeważnie kradzioną), bez której nie ma
właściwie żadnego sensu. To dowodzi, że jesteśmy
obecnie bliżsi niż kiedykolwiek t. zw. *wszechsztuki* (p.
Ryszard Wagner, Cezary Jellenta, Pola Negri).

4. Najwspanialej jednak rozwinął się *dramat* w tej
dobie. Lat temu pięć z okładem przeżyliśmy chwilę
straszną: teatr nasz odcięto od bulwarów paryskich,
dodatki do „Illustration“ przestały nadchodzić i było,
jakby wszystkie światła w gabinetach kierowników i dy-
rektorów pogasły! Co grać? Sztuki stare? Nie przy-
jdą! — Sztuki oryginalne? — Nie pójdą! Potrzeba ma-
tką jest wynalazku. Ktoś wpadł na prosty a genialny,
jak jajko Kolumba pomysł: Wystawić sztukę Caillaveta
i Flersa pod tytułem, wymyślonym przez Vienspoupoula
i Cotellette de Volail'a! Efekt był wprost nadzwyczaj-
ny, publiczność wali na *premjerę*, jak na odpust, prasa
poświęca jej długie feljetony, rozwodząc się szeroko
nad *nowem* arcydziełem ulubionej spółki autorskiej. W rze-
czy samej bowiem dzięki zmianie tytułu powstała *nowa*
sztuka! Czem bo się różni właściwie *nowa* komedja
bulwarowa od starej, jeżeli nie tytułem? Treść? Jest
wiecznie ta sama, mianowicie niema jej wcale — Ar-
mandy, Gastony, Żylberty i Żermeny w toaletach wizy-
towych, w negliżach, na pufach, w szafach, zegarach,
trójkątach małżeńskich i pod stołami. Kto tworzy nowy
tytuł dla komedji paryskiej tworzy zatem *nowe* dzieło!
Z chwilą, gdy to zrozumiano, twórczość dramatyczna
u nas kwitnąć poczęła jak nigdy przedtem. Co tydzień
powstają nowe sztuki — i to jakie! *Zalotna* (brak treść
wzięty z *Wachlarza*), *Owies i siano* (dawniej *Osiółek*)
Powraca! (niegdyś *Opiekuj się Amelją*), *Roznosicielka*

chleba (przedtem *Gdzie moje spodnie?*), *Dwie sieroty* (ongi *Półtora nieszczęścia*). *Taniec przed zwierciadłem* (w oryginale: *Nie spacerujże całkiem nago!*)

Autorowie tych utworów ukrywają się przez skromność pod pseudonimami francuskimi. Obawiać się należy, że historia literatury przeoczy ich albo oskarży o brak oryginalności. Dlaczego? Toć i Szekspir przebrał tylko stare nowelki włoskie, a przecież cieszy się niejakim uznaniem, choć nie wszędzie.

Dowiedliśmy powyżej, że ożywczy strumień Poezji nie wysechł w tej dobie. Przeciwnie, toczy się wartko, chociaż zmienił koryto. Zakończmy cytata z najpopularniejszych dziś i jedynie *drukowanych* poetów:

Gdyś mi przyznała rację,

To chodźmy na kolację!

(*Kitschman i Śliwiński*, czyli „Młoda Polska w pieśni”).

BACZNOŚĆ! KŁAMSTWO!

Z tych, którzy po nas przyjdą, najbardziej mi żal doprawdy przyszłego dziejopisa i historyka. Truchleję poprostu na myśl, że naprzykład mój rodzony — w prostej linii — prawnuk przez dziwne zrządzenie losu czy przez jakiś imperatyw kategoriyczny miałby za lat sto zostać Plutarchem albo Askenazym i brnąć — niczem Mojżesz przez Morze Czerwone — przez te góry a bałwany z bibuły zadrukowanej i papieru, które prasa całego świata wypluwa codzien z tłoczni. Bo łatwo jest pisać o wojnach Punickich albo o potyczkach zwolenników Białej z amatorami Czerwonej Róży, albo poprostu o Juljuszu Cezarze. Ale wojna światowa czyli

wielka! Ale Bethmann, Grey, Kamieniew, Krasin, Lloyd-George, emir Faysal, Cylicja, Dmowski, Hindus Tilak, Witos, Wilson, Lansing, Budiennyj, ex-cesarzowa Eugenia... Boże, Boże. Jestem pewien, że mój—w prostej linii—prawnik, rozejrzawszy się w materjale — w rocznikach gazet, mapach, komunikatach, zaprzeczeniach, księgach żółtych, białych, zielonych, wywiadach, sprawozdaniach, stenogramach — dostałby natychmiast pomieszania zmysłów i dlatego właśnie nie żenię się, aczkolwiek miałem oferty bardzo korzystne.

Tak jest. Ze względu na ilość i objętość „dokumentów“ czasy obecne mają się tak do okresu wojen galicyjskich, jak Wielka Encyklopedia Ilustrowana do wątlej broszurki ulotnej: „Co każdy człowiek inteligentny o burakach pastewnych wiedzieć powinien?“ A jednak — o Cezarze i Kleopatrze wiemy doprawdy znacznie więcej, niż o bezpośrednich przyczynach wojny roku 1914-ego. Mimo iż mamy przecie kinematograf, fonograf, radjotelegraf, maszyny rotacyjne i aparaty do przesyłania obrazów na odległość.

Czemu to właściwie tak jest? Oto ogłoszenie, przedrukowane dosłownie z poważnego czasopisma francuskiego:

D-r. LUCIEN-GRAUX.

LES FAUSSES NOUVELLES DE LA GRANDE GUERRE.

ouvrage couronné par l'Académie Française.

7 tomów! 3000 stronic!

Widzimy stąd, kochany czytelniku, że trzeba było aż *siedmiu arcytegich foljałów!* żeby zarejestrować — z grubsza — co oczywistsze kłamstwa wielkiej wojny. Gdyby autor dzieła uwiecznzonego przez Akademię nie wybierał tak skropulatnie i zechciał wynotować — bez żenady—wszystkie fałszy, pogłoski, plotki, jawne bzdury,

pół-błagi, rozmyślne „nabierania“ i świadome, inspirowane „mydlenia oczu“ — musiałby zakroić swe dzieło nie na 7 ale na 777,777 tomów, innemi słowy przedrukować po kolei owe roczniki pism, monitory, memorjały, komunikaty, orędzia, wyjaśnienia, sprostowania, enuncjacje, mowy i wynurzenia — wszystko to, czem się od lat aż do zatrucia komórek mózgowych karmimy i co — dzień w dzień — aż do spuchnięcia gruczołów śluzowych u Lourse'a powtarzamy. Widzimy dalej, że zmysły nasze zaostrzyły się wprawdzie, wzrok nasz — jak mówią podręczniki szkolne — dzięki lunetom i teleskopom sięga dalej, niż kiedykolwiek, słowo i głos — dzięki radjotelegrafom i radjotelefonom — obiega kulę ziemską dookoła; spotężnieliśmy nadludzko, ale jednocześnie spotężniał — również nadludzko — nasz popęd do kłamstw i błagi tudzież wzajemnego wyprowadzania się w pole. Rezultat? Kochany czytelniku, choćby prawnuk twój był Herkulesem intelektu nie da sobie rady z tą stacją Augjasza i zaprawdę powiadam ci, o przelomowej epoce naszej będzie akurat tyle wiedział, ile my dwaj wiemy o bitwie pod Cannami — albo o wyprawie niejakiego Jasona po złote runo. Nic to, że „Daily Express“ bije 225 tysięcy egzemplarzy na godzinę i że 1.335.000 numerów tego pisma rozwożą co rano aeoroplany — jesteśmy ciemni, jak tabaka w rogu, a nasz przyszły potomek będzie się głowił napróżno nad kwestją, jak żył, co myślał, co robił, jadł pił, jego prapradziad w dniach wielkiej wojny. I jeżeli chcesz, *amice*, aby wnuk twój wiedział coś o tobie — nie zdawaj się na „Daily Express“. Czyń, jak wybitny pisarz wiedeński, Herman Bahr, albo ów genialny, sędziwy, wiecznie młody, kochany człowiek Anatol France — pisz pamiętnik! Spokojnie, rzeczowo, uczciwie, bez kłamstw i zdobnictwa stylowego.

Mimo pudów zmarnowanej bibuły, klisz, plansz, map, wykresów, filmów — twoje skromne „memoiry“ będą kiedyś jedynym źródłem dla historyka, tak, jak suche notaty mnichów i kronikarzy średniowiecznych były i są jedynym źródłem dla poznania tamtych czasów.

GŁĘBSZY DRAMAT ŻYCIOWY

Próba jeneralna w jednym z bardziej komedjowych i bardziej dramatycznych teatrów warszawskich.—Aktor i aktorka.—Role—zmięte i zwinięte — w rękach. Wchodzi. Stają. Wokół—ponieważ to próba jeneralna—kilka krzesel, starych kanap i stos podartych dekoracji.

ONA. No a gdzie mój mąż? Gdzie margrabia?

ON. *(wola)* Margrabia! Margrabia!

Mąż pani się spóźnił. *(Siada, ziewa)* Musimy zaczekać.

ONA. Próbujemy tymczasem naszą scenę. Kulminacyjną! Akt drugi. Ja leżę na kanapie i drzemię. Pan wchodzi przez okno, trzymając klatkę z kanarkiem, własne ineksprymable i portret Napoleona Wielkiego...

ON. Jeżeli pani chce koniecznie... Boże, jaka to głupia sztuka.

ONA. Panie! co też pan mówi! To herezja. Głupia?! Sztuka Cotelette de Volaille'a! To najdowcipniejszy autor paryski w Warszawie!

Niech pan wchodzi przez okno.

ON. Jeżeli pani chcę koniecznie. *(Ustawia krzesła, markując okno. Wchodzi).*

ONA. Co pan robi? okno jest tam!

ON. Tam? Przepraszam. *(Ustawia swoje stołki gdzieindziej)* „Co widział margrabina. Ta kobieta jest w moim guście. Per Bacco“. Pani mówi

ONA. Jeszcze nie. Rzuca pan portret Napoleona Wielkiego i całuje mnie pan. Ale nie tu!

ON. Nie? Boże, jaka to głupia sztuka. „Piękna kobieta. Carramba“.

ONA. *(woła)* Margrabia!!

ON. Jakto margrabia? Dlaczego pani krzyczy. Pani nic nie mówi, pani drzemie.

ONA. Ale Mąż wchodzi. Chwyta pana na gorącym uczynku.

ON. Racja. Chwyta mnie na uczynku.

ONA. Pan go wyzywa na pojedynek. A ja przez ten czas drzemię. Ja wciąż drzemię.

ON. Słusznie. Ale jakże ja go wyzwę na pojedynek, kiedy szelma poszedł do Szwajcarskiej na kawę. Margrabia! *(Siada przy niej. Mówi serdecznie i z uczuciem)*. Wie pani, — czasem, rano — mam takie uczucie dziwne. Taka jakaś chęć się we mnie rodzi. Chciałbym sobie zagrać coś tragicznego. Chciałbym odtworzyć coś w poważnym, serjo, głębokim, życiowym — kinodramacie.

ONA. Dlaczego właśnie w kinodramacie?

ON. Widzi pani, przedewszystkiem dlatego, że to, co człowiek gra przed aparatem pozostaje, nie ginie. Filma to nieśmiertelność aktora. W teatrze gra pani dla kilkuset ludzi, dla zblazowanej zidjociałej krytyki, dla galerji. W kinematografie gra pani dla Wieczności! Dla potomnych! dla Europy! Dla świata — bez różnicy płci, wyznania, narodowości, klasy.

Taka Asta Nielsen. Urodziło się to w Danji, mieszka pod Kopenhagą, je sobie teraz spokojnie pieczeń cielejącą z nerką, a jednocześnie, w tej samej chwili! — wyciska ludziom łzy z oczu w Łodzi, Chicago, Lublinie, Nagasaki, Zgierzu, Sydneyu i Pabjanicach.

To jest prawdziwy tryumf sztuki!

ONA. Tak, tylko, że ja nie wierzę, żeby można było wzruszyć kogo do łez — na filmie, z płótna.

ON. Można! Ja sam widziałem, jak na „Miłości z poza grobu czyli kwiatku z bagna“ ludzie płakali, jak te bobry. Sąsiadce mojej musiałem pożyczyć chustki do nosa, której mi nawet nie oddała, tak były wzruszona!

ONA. Ależ — przez litość — czy można się wzruszać, patrząc na aktorów, którzy ruszają paszczami, jak rekiny, i nic nie mówią! Wyobraźmy sobie, że pan ma grać Hamleta w kinematografie! Mówi pan słynny monolog — no i co z tego pozostaje?

ON. Hamleta i monologu nie zagram. Literatury żadnej nie wygram. Ale bo co to Hamlet, proszę pani? Stara „kobyła“ białym wierszem. Aktor współczesny ma inne zadania. Poważniejsze! Szczytniejsze! Niech pani sobie wyobrazi taką historję. O!

(Zrywa się. Rozrzuca stołki. Gra, jakby duch Psylandra w niego wstąpił. Z ogniem, z werwą, z przejęciem).

Fabryka giętych mebli. Ja jestem właścicielem. Cylinderek, laseczka. Bogaty, ale smutny. Pani zgłasza się do kancelarji po posadę. Wynędziała, obdarta, suknia w strzępach, lakierowane pantofle. Twarz blada, jedwabne pończochy. Otrzymuje pani posadę i robi pani wyplatany stołek. Służę pani. O!

ONA. Co mam z tem począć?

ON. Niech się pani stara wrócić na uczciwą drogę — niech pani wyplata stołek. Więcej gry w twarzy, niech pani przewraca oczami. Dobrze.

Ja idę do fabryki. Cylinderek, laseczka. Bogaty, ale smutny.

Spostrzegam panią, pani — mnie. No?

Spuszcza pani oczy. Pierś pani faluje. Dalszy ciąg za chwilę.

Wychodzi pani z fabryki. Ja za panią. Idziemy. Ktoś na panią napada. No?

ONA. Rozumiem. Przerażenie. [Oczy w słup. Co?

ON. Właśnie. Usta szeroko rozwarte. Pierś fałuje. Ja nadbiegam. Chwytam nędznika za kark. Od rzucam, jak słomiany wiecheć... Ukłon. Cylinderek. Laseczka. Odprowadzam panią. Rozmowa. Szeroko usta, szeroko!

ONA. Dobrze tak?

ON. Doskonale! Niedziela. Pani siedzi z robótką przy oknie. Ja wchodzę. Bukiet. Rozmowa.

ONA. *(rusza szczękami)*. A o czym my mówimy?

ON. Wszystko jedno. Byle usta szeroko, jak u dentysty. Najlepiej jest mówić o-aza, a-utor, E-ufrozyna, ko-operatywa. Chwytam panią za rękę.

ONA. Spuszczam oczy. Robótką mi wypada z dłoni.

ON. Ja coraz gwałtowniej. O-aza, a-utor, epizotja.

ONA. Zo-ologja, ko-optacja...

ON. Ko-operatywa?!

ONA. Tak.

ON. Całuję panią — pani ma dziecko.

ONA. Jakto, proszę pana? Skąd?

ON. To się wyjaśnia w czasie, kiedy ja wychodzę do fabryki. Pani opiera się na komodzie. Widać pampasy w Ameryce południowej, gdzie dziecko pani jest na garnuszku u obcych ludzi.

ONA. Któż jest ojcem mojego dziecka?

ON. Niewiadomo. List to wyjaśni!

ONA. Niech mi pan powie przynajmniej — syn czy córka?

ON. Nie mogę! List to wyjaśni!

Uwaga! Część druga. Idziemy do mera! Do kościoła. Pobieramy się. Uczta. Zdrowie młodej pary. Bal. Schody. Idziemy do naszych komnat. Lokaje za nami. Świece, pochodnie, rekwizyty, reżyserja — to nas nie obchodzi.

Nareszcie sami. Rozmowa.

ONA. Stajemy obok siebie. Prawda? Ja odrzucam welon. Ko-operatywa, a-utor — corso?

ON. O-aza, o-aza!

Całuję panią — pani ma dziecko.

ONA. Jakto?

ON. Po! pauzie. Oczywiście po pauzie. Część trzecia.

ONA. Rozumiem! Kołyska—my nad nią pochyleni. Szczęście rodzinne.

ON. ^{sync}Właśnie. Ja biorę panią w ramiona, potem idę fabrykować gięte meble.

ONA. Ja zostaję sama. Wtem — list!!³ Aaaa! Ten nędznik żąda pieniędzy!

ON. Tak. Nędzny uwodziciel żąda pieniędzy. Jest to mój brat przyrodni, więc ja go muszę grać.

Przychodzi. Śmieje się. Ha-ha. Rzuca się na panią, na kołyskę.

ONA. Ratujcie dzieci!

ON. Tak. Ja wpadam — mąż! Chwytam nędznika, wyrzucam go przez okno...

ONA. Jakto? Samego siebie?

ON. Oczywiście. W kinematografie można. Biorę panią w objęcia.

ONA. Spozstrzega pan list. Tam — na podłodze.

ON. Czytam. Ha! Niewierna! Shańbiłaś mnie i moje gięte meble! Precz! Jeszcze bardziej precz, niż z dwuizbowością. O-aza, a-utor — ole-ander! Wychodzę!

ONA. Padam na stół — na stolek — wrywam sobie włosy z głowy. Ole-ander! — ole-ander!

ON. Ja wychodzę stanowczym krokiem. Hej tam! Konia! Siadam na koń i wyjeżdżam do pampasów Ameryki południowej.

ONA. Ja rozpaczam — kaszlę — wreszcie wstępuję do kabaretu, jako tancerka hiszpańska. Ollé! Ollé!

ON. Przez ten czas — ja — mąż — poluję w pampasach na grubego zwierza. Mija lat piętnaście. Część czwarta. Obszary porosłe trawą. Banda dzikich cow-boyów napada na mnie. Walczę. Ślaniam się. Byłbym zginął, ale syn pani ratuje mi życie.

ONA. Więc ja miałam syna?

ON. Syna. Porywa mnie na konia i wiezie. Szlachetny młodzian. Jedziemy.

ONA. Ja przez ten czas występuję w kabarecie. Ollé! powodzi mi się. Mam własną willę. Jadę do własnej willi własnym samochodem.

ON. Szalona szosa w pampasach! Spotykamy się. Syn, pani, ja, koń. Koń, nieprzyzwyczajony do samochodu, staje dęba. Wysypujemy się ja — syn — koń —

ONA. Wyskakuję z samochodu. Klękam! Załamuję ręce! Przebóg! O-aza, epizo-otja. Eufrozyna!! Ładuję pana i jego do samochodu! Jedziemy. Willa. Salon. Składam pana na otomanie.

ON. Leżę i drzemię. W głębi syn pani romanuje z córką pani. Kochają się, pobiorą się.

ONA. Ależ panie?!

ON. W kinematografie można. Pobiorą się, dostaną dispensę. Zresztą mnie to nic nie obchodzi, Leżę i drzemię — jestem raniony przez cow-boya i prócz tego wywaliłem się na szosie. Pić!

ONA. Ja czuwam przy panu w kostjumie tancerki hiszpańskiej. Carramba!

(*Margrabia*).

MARGRABIA. „Wicehrabio! Jak pan śmie! To moja żona!“ Hę? Co wy wyrabiacie? Pani powinna leżeć na kanapie!

ON. Wszystko jedno, kto leży na kanapie!

MARGRABIA. Ależ bójcie się Boga, co to ma znaczyć? Wpadam na Carramba i co widzę? Cała sytuacja na nic! Zlitujcie się — przecież w sztuce jest inaczej!!

ON. Ale tak jest w życiu! To jest dramat życiowy. Uważa pani! To nie ginie! To pozostaje po wszystkie czasy jako dokument naszej kultury artystycznej.. Pokolenia to podziwiać będą. Epizodotja, autor!

MARGRABIA. Próba jeneralna na nic! Jak oni traktują Cotelette de Volail'a, Jak oni traktują SZTUKĘ! Teatr upada...

BARWNA SZTUKA HISTORYCZNA.

ARCYDZIEŁO W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Aktor. Aktorka. On — kroczy jak na bohatera sztuki historycznej przystało. *Parademarsch*, melonik pod pachą, laseczka zamiast szpady. Ona usiłuje drepnąć, jak dreptały prababki).

On. (mówi oczywiście wierszem trzynastozgłoskowym).

Hermenegildo. Bóstwo. Siadaj tu na ławie,
Ja zaś — księżę i pan twój — stołek se
[przystawię.

Zaraz! Jak pani siada? Przecież pani ma na sobie krynolinę, robrony, szynszyle, gronostaje i stokfiszę! Pani chce sobie to wszystko tak — poprostu — przysiąść i już?

Ona. Nie chcę być Hermenegildą. Proszę do mnie nie mówić w ten sposób! Krynoliny nie włożę, bo to mnie *pogrubia*.

On. Pani! Bądźmy rozsądni! Przecież już tłómaczyłem *pani* przed chwilą, że tu nie chodzi o żart niewczesny, ale o rzeczy poważne. O karierę atystyczną!

Ona. Gadanie.

On. (groźnie) Czy w Teatrze Polskim, Praskim, Letnim, Powszechnym grają dwie kobyły historyczne na sezon, czy nie grają? Hę? Czy farsa sięgała do naszej przeszłości czy nie sięgała?

Ona. Sięgała, a ja krynoliny nie włożę!

On. *Silentium!* Czy na Karowej, Lesznie, Kaliksta, i u rzemieślników-chrześcijan oraz u subiektów wyznania mojżeszowego pokazują „tło dziejów naszych“, czy nie pokazują? Pani myśli, że *pani* tak będzie latała po scenie? w takiej sukni? Ogonek, bufki, dekolcik? Minęły te czasy! Pani nie wie dnia ani godziny! Jutro *pani* każą grać współczesną tragedję historyczną Chwat-Czyńskiego i Gracjana Pyrka z epoki bitwy na Psem Polu. W tulupie *pani* będzie chodziła, w samodziłowej kiecce!

Ona. Ale nie w krynolinie, aha?

On. Odrzuca *pani* rolę? Dobrze. Czem *pani* chce być? Uprzedzam, jeżeli się *pani* tych gestów — od się, k'sobie — nie nauczy, jeżeli *pani* głosu na przedęty patos nie nastawi, to *pani* jest dla sceny *st-acona!* Więc?

Ona. Ja chcę być Katarzyną drugą.

On. ?

Ona. A tak. Wypożyczę płaszcz od Schneidra i będę przewrotna. Spostrzegam *pana* na balu, *pan* ma krótkie spodnie i lakierowane pantofle, więc osadzam *pana* na tronie. *Pan* będzie Stanisławem Augustem.

On. Krótkie spodnie! Stanisław August! To już sto razy było!

Ona. A ja się na nic innego nie zgadzam. Albo, albo.

On. Pani! Pogódźmy się. Ja coś ustąpię, pani coś ustąpi. Będzie pani — panią Walewską.

Ona. A pan?

On. Ja będę Napoleonem Wielkim. Kapelusik wpoprzek, ręce na krzyż. Mówię kótko, lapidarnie, pani się we mnie kocha, a ja jestem zesłany na Ś-tą Helenę. Zaczynamy. Pani deklamuje lirycznie i od rzeczy.

Ona. Nie chcę! 'Sobie 'pan bierze Napoleona, a mnie pan daje jakiś ogon!

On. Pani Walewska to [ogon? Też pogład na historję!

Ona. No pewnie! Jeżeli mam deklamować lirycznie od rzeczy!..

On. We [współczesnych sztukach historycznych kobieta zawsze mówi od rzeczy. [Na tem polega ścisłość dziejowa!

Ona. Tak. A mężczyzna przez ten czas ginie dla kraju i ma brawa przy otwartej kurtynie!

(*Pauza*).

On. Pani! Ostatnia propozycjai Słucha pani, czy nie? Więc tedy — uwaga! Rzecz dzieje się w wieku — wszystko jedno w jakim wieku: między szesnastym i kwadrans na dziewiętnasty. Pani jest margrabina, a ja jestem książe...

Pani pochodzi z najszlachetniejszego rodu. Nazywa się pani mocno historycznie — margrabina Raciążer.

Ona. Doskonale.

On. Nareszcie! Proszę o tragiczny wyraz twarzy i bolesny uśmiech! Akcja, jak w każdej współczes-

nej sztuce historycznej, jest bajecznie prosta: niema jej wcale, DIALOG toczy się natomiast między podręcznikiem szkolnym a Encyklopedją Orgelbranda.

Ja jestem nader wybitny bohater i posiadam mocne, głośne w dziejach nazwisko.

Ona. Nazywa się pan — ksiązę Romuald Gierasieński.

On. Właśnie. Jestem piękny ale płochy.

Ona. Współcześni przezwali pana—uroczy Bdyś.

On. Tak jest. Piję tedy i gram w karty, a tymczasem... Pierwszy akt! Statyści w kostjumach od Dłutka gadają głupstwa. Ekspozycja. Ja wchodzę. Błady, niewyspany. Monolog:

Nigdy już, nigdy grać nie będę w klubie!

Tam kraj mnie woła a tu ktoś mnie skubie.

Przegrałem w baka, a nawet w pokera,

Sumę, co zera *trzy!* w sobie zawiera!

Ona. Pauza! Moje wejście!

On. Tak. Lokaje w kostjumach, projektowanych przez prof. Cebrzyka, anonsują: Emilja margrabina Raciążer! Ja chwytam się za serce i wołam: „ona”, ponieważ wiadomo powszechnie, żeśmy się poznali na balu dworskim w Berdyczowie, gdzie powziąłem dla pani afer — nie afekt...

Ona. Wchodzę! Ty tutaj, ksiązę?! A tam, w Berdyczowie, zdrada się łęgnie... Rym! Pani! Rym! Prędziej!

On. Berdyczowie? (*gest szeroki*). Odejdźcie panowie!

Ona. Wodzu! Ja wracam z kresów! Tam już wróg naciera! A ksiązę pan w stolicy się zgrywa w pokera. Ha!

On. Przegrałem sumę, co zera trzy w sobie zawiera!

Ona. Tam pożoga, głód, wojna. Ty spoczywasz

gnuśnie. Zamiast czynić i działać!? Toć publiczność uśnie?!

On. Stój pani! Klnę się na tę szpadę, że dziś staluję *sleeping* i na kresy jadę!

Ona (klęka). Jakiś ty piękny, wzniosły! Nim ruszysz, weź broszkę... W niej amulet — tu płaczę...

On. Zawołać dorożkę! Pani szlocha, ja wyjeżdżam. Oklaski. Zmiana dekoracji. Drugi akt! „W obozie“

Ona. W jakim obozie?

On. W moim obozie na kresach. Nie pamięta pani z czasów szkolnych? Słynna bitwa pod Skolimowem! Ogniska. Żołnierze — w kostjumach podług Gembarzewskiego. Dużo generałów. Chodzę i myślę. Monolog.

Mości panowie! Dziś zatem, jak jest we

[zwyczaj,

Mamy odnieść zwycięstwo lub zginąć dla

[kraju.

Nim słońce krwawo zajdzie—już będzie po

[fakcie.

Zwyciężymy! Bo któżby miał grać w trze-

[cim akcie!?

Brawa przy otwartej kurtynie! Osiemdziesiąt przedstawień, nie licząc popołudniówek, świąt i dni galowych. Poco za te głupstwa płacić tantjemy, kiedy to można improwizować?

Ona. A ja? Ja tu wcale nie gram?

On. Pani — podczas kiedy ja zwyciężam — charakteryzuje się do trzeciego aktu. Spotykamy się, po latach, na wygnaniu, w miejscowości kąpielowej, w wodzie... Oboje sterani życiem...

Ona. Nie chcę! Pan sobie gra w kwiecie wieku, a ja mam się pokazywać sterana życiem? Nie!

On. Ależ pani! Cudowna scena! Liryczna! Pożegnanie! Szczery sentyment! Jesteśmy oboje w kostju-

mach kąpielowych, mimo to poznajemy się na pierwszy rzut oka. Ja mówię: ach! Odwracam się do publiczności. Monolog przed rampą.

Byłaś mi życia szczęściem i osłoda...

Żegnaj! Tu daję nurka i znikam pod wodą!

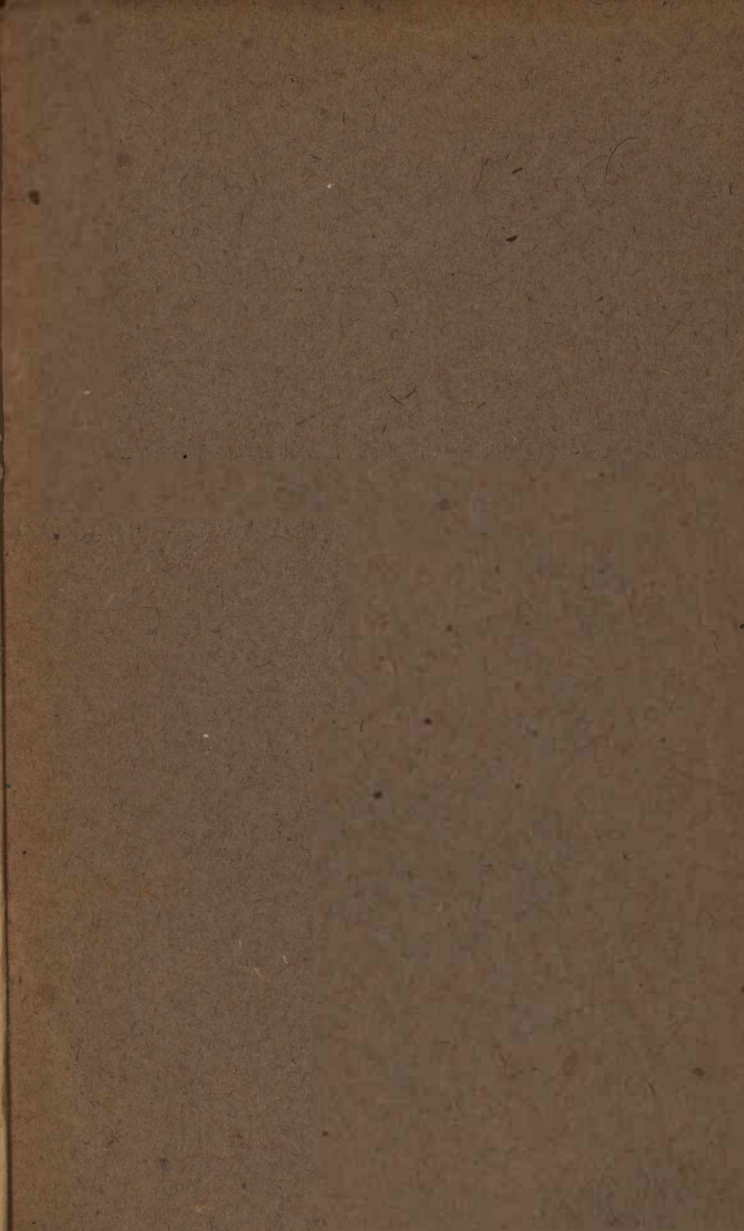
Ona. Nie zgadzam się! Odrzucam rolę! Ja nie mam historycznego kostjumu kąpielowego! Scenę końcową trzeba zmienić!

On. Pani! Dla kostjumu mamy paczyć intencje młodego poety? Młodego Rasyna warszawskiego? To byłaby profanacja!

(Reszta — dla braku miejsca tudzież papieru — w jednym z teatrów stołecznych).

S K O R O W I D Z.

ABU-BEKR 8—9	HILARY 33, 35, 36, 41, 44
AKADEMJA 3	IGREKAŁA 38
ARYSTOFANES 17—18	INTER ARMA 27
BEN AKIBA 5—8	JUBILEUSZ 9
BOHATER 13—14	KOBIETA 8—9
BREITER 17	KOPERNIK 24—27
CEZAR JULJUSZ 16	KOLUMB KRZYSZTOF 11, 19
CEZARY JELLENTA 49	LITERATURA 30—33 46—50
CYWILIZACJI HISTORJA 14	OMTADRALSKI 20
DROMADER 3—5	PYTEK 60
FIJOŁKOWSKI 19—47	SHAKESPEAR 17—19, 22—23
GŁÓD PAPIEROWY 41—43	SHEEFMAN 17
GŁĘBSZY DRAMAT 53—59	SZSZPKOWSKI 24—27
GRABSKIEGO INICJAŁY 42	TYLKO CECYL 9—13
GUTENBERGA PROTEST 33	WARSZAWA w NOCY 24
HIGH-LIFE 44—46	ZGIERZ 26, 54



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A1157841



1000182572